Cień

Eliza Orzeszkowa

calibre 0.9.27

CIEŃ

Eliza Orzeszkowa

CIEŃ

W izbie czeladnej, czyli tak zwanej piekarni, kilkanaście osób różnej płci wieczerzało przy długim stole, na który spływał obfity blask palącego się w piecowisku ognia.

Gospodyni, czerstwa i silna kobieta, w granatowym spencerze, z misą pełną dymiącej się strawy i sporym kawałkiem chleba w ręku, stanęła w pełnem świetle płomienia i ku jednemu z ciemnych kątów izby zawołała:

— Niemko, na! nieś babie i sam jedz!

Bo, jakkolwiek ogień rozlewał po izbie światło obfite, kąty jej zalegała ciemność, wśród której majaczyły kształty stojących na ziemi i wiszących po ścianach narzędzi i naczyń gospodarskich. Majaczyło to tam liniami krótkiemi, długiemi, okrągłemi i ostremi, a czasem, pod zabłąkanym na żelazo lub mosiądz blaskiem ognia, świeciło nietrwałemi błyskami.

Z pomiędzy tych linii widmowych i błysków błędnych, na wołanie gospodyni, podniosło się w kącie coś tak wysokiego i cienkiego, że można byłoby przypuścić, iż to jedna z żerdzi do grodzenia płotu przygotowanych nagle dostała życia i posunęła się na środek izby.

W pełnym blasku ognia okazało się, że był to człowiek niezmiernie wątły i tak sztywno się trzymający, jakby istotnie na żerdź był wetknięty. Długa siermięga, u dołu wystrzępiona, wisiała na nim jak na żerdzi, a gdy znalazł się pośrodku izby, wypukłe, na jaskrawem tle płomienia, oderznęła się mała jego głowa, z blado-złotemi włosami i brwiami, z bladym i delikatnym profilem, z mnóstwem zmarszczek, skupionych nad oczyma, których bardzo błękitne źrenice lękliwie patrzały z pod długich, blado-złotych rzęs.

Z misą pełną jadła w jednej ręce, a z chlebem w drugiej, uszedł kilka kroków tak sztywno, jakby nie człowiekiem żyjącym był, ale lalką woskową na sprężynach, poczem, na ławę pod piecem umieszczoną wstąpiwszy, wydał krótki gardłowy okrzyk. Wtedy u szczytu pieca, prawie pod samym sufitem, z głębokiego zmroku wysunęły się dwie ręce ludzkie, małe ciemne, z wykrzywionemi palcami i, po chwilowem błądzeniu w powietrzu, ująwszy z obu stron misę, razem z nią w głębokim zmroku znikły, a cienki, wysoki, sztywny człowiek ruchem niezmiernie zwinnym wdrapał się na piec i także zniknął. Pomiędzy zaś szczytem pieca i okopconą belką sufitu widać było tylko mętne zarysy dwóch postaci, raczej dwóch niewyraźnych cieniów i iść ztamtąd poczęły odgłosy przełykania płynnej strawy i przeżuwania twardego chleba.

Niedawno jeszcze, przed kilku laty, kiedy większość siedzącej teraz dokoła stołu czeladzi była świeżo do dworu tego przybyłą, to codzienne zanoszenie na piec przez Niemka strawy dla siebie i ślepej babki stanowiło ucieszne widowisko publiczne.

Bawił ludzi ten ruch wiewiórczy, kręty i zwinny jakim się on na wysoki wierzch pieca dostawał, bawiły też niekiedy szemrzące i chrypiące pod sufitem gadaniny starej jego babki. Podaniem stało się tu, z ust do ust przechodzącem, że kiedy chce, to cudnie o różnych rzeczach opowiadać ona umie, szkoda zaś wielka, że od pewnego czasu, nigdy już opowiadać nie chciała. Bardzo stara, daleko więcej stękała i wzdychała, niż mówiła, i tylko czasem, gdy wnuk, na piec wlazłszy, siedział czy leżał przy niej, o czemś jemu szeptała i szeptała.

Bóg święty wie, o czem ta ślepa baba temu niememu chłopcu do późnej nocy niekiedy mówić mogła! Zdarzało się też, gdy ogień w piecowisku świecił już tylko kupą czerwonych węgli, a ludzie po ławach drzemali, albo i spali, ten i ów przysłuchiwał się temu szeptowi, który pod sufitem szeleścił jak suche liście, jesieni wiatrem gnane. Lecz nikt nic wyraźnego usłyszeć nie mógł, ponieważ baba miała mowę szepleniącą i niewyraźną. Czasem zdawało się, że pacierz odmawia, a czasem, że napomina, czy lamentuje, o jakimś ojcu ciągle wspominając. Westchnie, bywało, i

głośniej zaszepce: "idź do ojca", albo "poproś ojca", albo "poskarż się ojcu".

Tak samo i teraz.

W izbie czeladnej ciemno jest ale niezupełnie, bo w głębi piecowiska wielka kupa rozżarzonych węgli czerwono świeci i przez cztery spore okna zaglądają gwiazdy pogodnej nocy. Ludzie rozeszli się i tylko kilka osób, wyciągniętych na ławach śpi, a w kącie stary Grzegorz, stróż nocny, siedzi pod ścianą i fajkę pali. Gdy wypali, położy się i zaśnie także, ho dziś nie na niego, ale na Niemka przychodzi kolej nocnego stróżowania, w ciemności zaś u szczytu izby, pod sufitem, jakby suche liście jesienne, wiatrem gnane, po przymarzłej ziemi sunęły. Widać też tam, na tle gęstego zmroku, dwa czarne cienie, a gdy w piecowisku niedopalona głównia buchnie sinawym płomykiem, rozeznać można, że cienie te leża obok siebie na piecu z twarzami ku sobie obróconemi i że jeden z nich wciąż szepce, a drugi milczy i może słucha. Potem szelest suchych liści ustał, szept umilkł i jak raz w tej samej chwili głownia w piecowisku strzeliła, obfitem światłem, które przedostało się aż pod sufit i ukazało, że pomiędzy jedną z belek jego a wierzchołkiem pieca, jeden z cieni podniósł rękę i począł nią głaskać drugiego.

Jednocześnie ozwał się w ciemnym kącie głos starego Grzegorza:

— Niemko! A pora ci już na dwór wyjść! Pamiętaj tylko drzewa narąbać tyle, żeby mnie jutro nie było potrzeba...

Natychmiast, bez jednej sekundy zwłoki, długi, cienki cień wiewiórczym ruchem zsunął się z pieca na ziemię, a na piecu suche liście znowu zaszeleściły:

— Oj! Ojcze przenajświętszy! Oj! taki mróz, taki mróz tęgi na dworze! Oj, Ojcze niebieski!

Na dworze mróz był, ale nie tęgi, kilkostopniowy tylko; noc zimowa prześliczna, cicha, mnóstwem gwiazd wyiskrzonych patrzała na śnieg niepokalany i marzący. Z pozamykanemi oczami drzwi i okien spały we dworze domy, w ścianach zamkniętych budynków spały zwierzęta, wśród obielonych lekkim szronem drzew ogrodowych, spały wiatry na pościelach ze śniegowych puchów.

Za stodołą, daleko od zamkniętych domów, rozlegać się poczęły wśród powszechnego uśpienia miarowo stukania siekiery, które kędyś, za węgłem budynku, powtarzało echo. W ciszy bezbrzeżnej co kilka sekund dawało się słyszeć głuche stuknięcie i wnet potem, nie wiedzieć w którym punkcie mroźnego przestworza, cichsze i przeciąglejsze jego powtórzenie. Wkrótce echo powtarzać zaczęło, razom ze stukaniem siekiery o drzewo uderzającej, stękanie, wychodzące z ludzkiej piersi. Cień, który pod długą ścianą stodoły, rytmicznym ruchem podnosił i opuszczał rękę, wydawać począł z piersi stękania, z których każde, jak odpowiedź po zapytaniu, następowało po uderzeniu siekiery. Echo powtarzało je razem ze stukami, kędyś, nad śniegiem. Potem stuki, westchnienia i echa umilkły, a cień człowieka zaczął chodzić pomiędzy uśpionemi domami, pozamykanemi budynkami, wśród ubielonych drzew.

Po kobiercu śnieżnym, pod baldachimem wyhaftowanym w gwiazdy, stąpając; powoli i zupełnie cicho wchodził do starego, rozległego ogrodu i pomiędzy dwoma rzędami drzew nagich, szedł ku wznoszącej się u ich końca kaplicy. Tu, na wschodach małej budowy, klękał i, splecione ręce do piersi przyciskając, wzrok podnosił ku gwiazdom. Usta jego były nieruchome, ale postawa błagająca i pokorna. Zapewne posłuszny szeleszczącym napomnieniom starej babki: "idź do Ojca! proś Ojca!" odmawiał jakieś wewnętrzne, nikomu nieznane, pacierze.

Po chwili, niekiedy dość długiej, wstawał z klęczek i znowu to tu, to owdzie przesuwając się po śniegu, kiedy niekiedy przybliżał do ust gwizdawkę, której dźwięk przenikliwy, jak ostra szpilka tkaninę, przerzynał powietrze. To gwizdanie było jego nocną mową, oznajmiał nią, że czuwa, a gdy we dnie stawała się niepotrzebną, pozostawał bez żadnej.

Nie od urodzenia był niemy, słuch posiadał i tylko mowa mu przepadła, a ponieważ rzeczą jest

dość ciekawą, jakim sposobem człowiekowi mowa przepaść może, gospodyni izby czeladnej temu i owemu niekiedy opowiadała, że stało się to od ojczymowego bicia. Dziecko było małe i raz, kiedy ojczym, taki wielki, często napiły drab, porwał się, aby je wybić, zlękło się, ze strachu oczy wytrzeszczyło, dech straciło i — już! Na. wieki zaniemiał ! Tyle co do niemoty; a teraz, dlaczego on taki chuderlawy, cienki, bez żadnego ruchu albo życia; w ciele, i wiecznie wyprostowany, jak gdyby żerdź w nim tkwiła?

Tu już stary Grzegorz głos zabierał. Długo on żył na świecie, wiele pamiętał i widział; pamiętał też, jak matka niemowy z dalekich stron w te okolice przyszła, starą matkę swoją z sobą przyprowadzając i malutkie dziecko na ręku niosąc. Za robotą przyszła, a męża znalazła, drugiego męża, którego też niebawem odumarła, poczem ten ojczym w świat kędyś powlókł się a babka wprędce oślepła i ot, dlaczego on jest sierotą i — nikogo na świecie swego, oprócz tej ślepej babki, nie ma. Może gdzie i ma. ale niewiadomo, bo z dalekich jakichś stron pochodzi. A co do tej chuderlawości, to kiedy jeszcze niedorosły był, chłopcy, łowiący rybę w stawie, do wody go wrzucili, nie dlatego, broń Boże, aby utopić, ale dla żartów, aby z niemowy pośmiać się.

Było to cościś w parę tygodni po Różańcowej, kiedy woda w stawie robi się już bardzo zimna; tedy on, po tej kąpieli, długo chorzał i, choć potem niby ozdrowiał, ale na zawsze już taki nikczemny pozostał. A byłby może i duży chłop, bo w dłużynę urósł, tylko już w szerokość to za nic brać nie chciało i tak w nim cościś siadło, że wiecznie jest taki prosty, jakby żerdź połknął. Może go tam cowe środku przy poruszeniach boli? Niewiadomo. Kto może wiedzieć cokolwiek o człowieku, który mowy nie ma"? Tak jak zwierzę: żeby je niewiedzieć co bolało, nie powie, bo nieme jest.

Tak tedy niemota, sieroctwo i chuderlawość jego były wytłomaczonemi, ale nikt już zupełnie wytłomaczyć ani mógł, ani. próbował, tej kupki zmarszczek, które zbiegły się w jedno miejsce i legły na czole, nad samemi oczyma, ładnie ocienionemi przez gęste, blado-złote brwi. Nie miał snać więcej nad lat dwadzieścia parę, a drobne rysy jego, bladą skórą powleczone, miały w sobie delikatność prawie dziecięcą. Więc to zbiegowisko zmarszczek nad twarzą, prawie dziecinnie drobną i delikatną, wyglądała jak znak zapytania, lub jak zagadka...

Dziecinną twarz mając, niedawno jeszcze doświadczał czasem napadów wesołości dziecinnej i z dziećmi po łące na wyprzódki biegał. Bo była. tam, tuż za tym dworem, łąka piękna, wiecznie zielona, wąskim pasem ciągnąca się wzdłuż lasu. aż do cmentarza, który gromadę krzyżów różnej wysokości wznosił pod gęstą ścianą dębów i olsz. Ale w dzień letni krzyże cmentarne zupełnie prawie kryły się w gęstej zieleni drzew i była tam tylko łąka niezmiernie rozkwiecona, światłem słonecznem oblana, wesoła od świergotu niezmiernego mnóstwa leśnych ptasząt.

Z hałasem i śmiechami, w poranki niedzielne, wypadały dzieci z piekarni i biegły na tę łąkę, a Niemko, z pod ściany oficyny, patrząc na ich rozwiewające się włosy i migocące nad trawą stopy bose, poczynał uśmiechać się, poruszać rękoma, brwiami, nogami, aż puszczał się za niemi w pogoń. W szare płótno od stóp do głowy przyodziany, bosy, u skraju łąki stawał jak wryty i z coraz rozszerzającym się na twarzy uśmiechem patrzał. Złoto, kolorowo, jasno, wesoło.

Od różowych smółek, żółtych srebrników i czerwonego szczawiu, od błękitnego nieba, złotego słońca i zielonego lasu, od śpiewu ptaków i zapachu kwiatów, rozlewało się po niebie, powietrzu i ziemi morze radości.

Świetną, wolną, gorącą tę radość uczuwały w krwi i małych móżdżkach dzieci wrzaskliwie uganiające się po łące jedne za drugiemi, albo za motylami, albo za niczem: uczuwał je też Niemko i zrazu do szarego słupka u skraju łąki sterczącego podobny, puszczał się w pogoń za dziećmi, chwytał je na ręce, podnosił wysoko, puszczał, chwytał znowu, okręcał się, rozwierał szeroko ramiona, podskakiwał szalał. Wtedy pod blado-złotemi brwiami oczy stawały się podobne do turkusów

rozżarzonych, na zapadłe policzki występowały rumieńce i wargi zczerwienione rozwierał szeroki uśmiech.

Ale trwało to zazwyczaj krótko. Spadało nań niebawem coś podobnego do szczypców, gaszących świecę. Gasł, ramiona opuszczał i z zamkniętemi usty od gromadki dzieci w swawoli nieukróconych odchodził. Ale do domu nie powracał.

Niedziela. Do lasu wchodził i przez czas jakiś widać było wśród zieloności leśnej błądzący, szary cień. Od drzewa do drzewa przechodził, czasem znikał za pniem rozłożystego dębu i znowu ukazywał się w smudze słonecznej.

Poco tak błąkał się i wałęsał w ogłuszającym świergocie ptactwa leśnego ? niewiadomo; zdawać się mogło niekiedy, że drzewom przypatruje się, bo z podniesioną głową długo stawał nieruchomy, a niekiedy pochylał się i coś zrywał; jagody, czy kwiaty.. Potem znikał w głębiach lasu i do domu powracał, gdy słońce zachodziło i ślepa babka, w stare płachty owinięta, siedziała pod ścianą piekarni na ławie.

Ktoś litościwy na dzień boży ją wyprowadził, w cieple słońca posadził i tak już do wieczora przesiedziała sama jedna, bo ludzie w dzień niedzielny rozchodzą się zawsze w różne strony. Więc gdy zamiast słońca nad lasem stawała czerwona zorza wieczorna,; a na trawy, drzewa i budynki opadał zmrok, oni we dwoje tylko obok siebie na ławie siedzieli. W zmroku głowa ślepej babki, żółtą chustą obwiązana, wyglądała zdala jak przylepiony do ściany kwiat słonecznika.

Milczeli.

Świerszcze ćwierkały w trawach, nietoperz czasem krętym lotem prześmignął w powietrzu, od ogrodu dworskiego, od bramy otwartej na szeroką drogę, od stajen obór, dochodziły głosy zwierząt, turkoty kół, ludzkie rozmowy i śmiechy.

— A co tak zapachniało"? czomber, czy co? — szepleniącym szeptem zapytywała ślepa babka.

Niemko głową trząsł w zmroku i sięgając za koszulę, poczynał sypać na jej kolana garście kwitnących ziół leśnych, od których biły zapachy silne i w których wilgotną świeżość zatapiać się wnet zaczynały dwie drobne, wyschłe trzęsące się ręce. Mdła plama, od żółtej chustki pochodząca, zgasła już w zmroku. Stali się oboje podobni do czarnych cieniów na tle szarej ściany i milczeli.

Ostatniej wiosny przecież Niemko nie biegał już z dziećmi po łące. Niewiadomo dlaczego, ale do krzykliwej i ruchliwej zabawy nie wmieszał się ani razu i tylko kiedy niekiedy w niedzielne poranki czy południa, stawał u skraju łąki i całemi kwadransami tkwił tam nieruchomie jak wkopany w ziemię słupek. Patrzał na złote, kolorowe, jasne, rozśpiewane święto natury, na biegające dzieci, latające motyle, przepływające w górze obłoki, a potem, do lasu wszedłszy, pomiędzy drzewami i zaroślami błądził, aż w głębokie cienie zanurzył się i znikał na długo... Lecz gdy powracał, ślepej babki pod szarą ścianą piekarni już nie znajdował.

Od czasu pewnego nigdy już z izby czeladnej nie wychodziła i nawet nie złaziła z pieca. On do niej tam szedł i na okrywające ją stare płachty rzucał przyniesione z lasu garście pomiętych za koszulą łodyg i kwiatów leśnych, poczem rozpoczynały się pomiędzy belką sufitu a wierzchołkiem pieca szepty, jak suche liście szeleszczące, stękania i kaszlania, długiemi ciszami przerywane, coraz dłuższemi, bo u końca zimy ślepa babka szeptała coraz rzadziej i krócej. Ustawały wieczne opowiadania jej, czy też może użalania się, lub napomnienia, których on do późnych nocy nieraz słuchał, aż ustały zupełnie i przez kilka tygodni ślepa babka, jak niema, leżała na piecu...

Zapytywali ją czasem litościwi ludzie, dlaczego nic nie je i nie chce na majowe słońce wyjść? albo: czy śmierć już blizko siebie czuje i czy prędko umrze? Ale ona nie odpowiadała. Może myślała, że z opowiadania żadnego pożytku nikomu nie będzie, może już siły do mówienia nie miała, albo przed śmiercią zgłupiała zupełnie?. Niewiadomo. Jak kłoda w grube płachty owinięta, leżała na

piecu nieruchoma i niema, a twarzy jej pod belką sufitu wcale widać nie było.

Czy, leżąc tak, myślała dniami i nocami o czemkolwiek, o życiu naprzykład, o śmierci, o tem, co było w życiu i co będzie po śmierci? niewiadomo, ale jeżeli myślała, to — o Jezu! Aż przyszła nakoniec taka minuta, że głośno krzyknęła:

— O, Jezu!

A potem, zaczęła na całą piekarnię wołać:

— Antoś! Antoś !

Nikt przypuścić by nie mógł, aby do tak głośnego wołania dość siły jeszcze miała w sobie, to też ludzie, którzy, tylko co powieczerzawszy, przy stole jeszcze siedzieli, wszyscy ku wierzchołkowi pieca popodnosili głowy, a Niemko jednym skokiem z kąta izby do pieca przypadł i, jak wiewiórka, w mgnieniu oka na nim się znalazł.

Antoni tedy na imię mu było? Nikt o tem nie wiedział, a jeżeli ktokolwiek ze starszych i wiedział to zapomniał. Niemową był, więc Niemkiem go ludzie przezwali, a po imieniu nikt go oprócz tej ślepej baby nie nazywał i po niej nazywać nie miał.

Znowu szeptała i niektórzy ludzie bardzo już pilnie wieczoru tego przysłuchiwali się jej szeptowi, bp wiedzieli, że był przedśmiertnym, a wszelkie rzeczy ze śmiercią związek mające zaciekawiają jak przepaść, w której czarny otwór spoglądając, człowiek musi zapytywać: co tam na dnie? Ale cóż, skoro dogorywająca baba tak szepleniła, że kiedy niekiedy tylko słowo jakie, albo kilka słów. uchem pochwycić było można!

Zdaje się, że porównywała ludzi do paciorków, które ręka Boska na ziemię sypie i które padają rozmaicie: na jasne pagórki, albo w ciemne parowy, na kwiaty, albo na kamienie... i niewiadomo, co z temi paciorkami było dalej, tylko jeszcze po tem coś o jakiejś Krystynie szeptała a stary Grzegorz, przypomniał sobie, że było to imię jej córki. Pewnie prosiła, aby ją obok Krystyny pogrześć, gdyż coś o mogiłce wspominała i już może potem w nieprzytomności przedśmiertnej bredzić zaczęła o jakichś sinych płomyczkach.

— Płomyczki sine! W nockę ciemną płomyczki sine... pod lasem... oddechy zmarłych... idź, popatrz... pacierz zmów... i mój tam zaraz będzie... płomyczek siny.. w nockę ciemną...

Gospodyni głową trzęsła i do ludzi zaszeptała, że to ona o tych płomykach sinych, co to w niektóre noce nad cmentarzem...

— Aha! — zgodzili się ludzie i głowami kiwali, bo wszyscy nieraz widzieli te płomyki i rozmaicie o nich mniemali, że to dusze zmarłych, albo oddechy zmarłych, albo pełgania złota w ziemię zakopanego.

Aż ta stara na piecu jak nie zajęczy, to aż mrowie po wszystkich poszło.

— Biedaku ty! — jęczała — oj, biedaku ty mój serdeczny! wnuku ty mój rodzony! robaku mizerny... Paciorko w ciemny dół zatoczona! Stworzenie ty Boże...

Nagle przestała jęczeć. Może już zmarła? Nie, bo, po chwilowem uciszeniu się, zaszeptała znowu:

— Ojcze niebieski! Ojcze wszechmogący! Ojcze miłosierny! Antoś! Antoś! do Ojca idź! Ojca proś!

Poczem umilkła znowu, a ludzie, widząc, że nie zaraz jeszcze zbierze się jej na ostatnie konanie, posnęli i niewiadomo, co polem przez całą noc działo się na piecu.

Ale nazajutrz około południa, pod ścianą izby czeladnej, na ławie, leżała, w szmaty kraciaste owinięta, figurka mała, wyschła, sztywna, jakby z wosku ulepiona, bo kolor jej drobnej twarzy i małych rąk, u piersi splecionych, nie różnił się prawie od żółtej chustki, którą głowa była obwiązana. Trochę tylko błyszczących jak srebro włosów wydostawało się z pod tej chustki i nad oczyma, tak

głęboko zapadłemi, że wyglądały jak puste jamy, srebrne brwi odrzynaly się od żółtego czoła...

Obok tego nikłego, suchego, w powijaki z kraciastych szmat owiniętego trupka, Niemko siedział na stołku, cienki, sztywny, plecami do izby obrócony i wielką gałęzią zieloną szeroko powiewał. Muchy odpędzał, które brzęczącemi rojami napełniały izbę.

Trwało to już od kilku godzin. Bo zrazu, gdy wnet po powstaniu ze snu ludzie spostrzegli, że baba na piecu nieżywa już leży, powstała tu zawierucha wielka. Chcieli, wedle zwyczaju, ubierać; ją do trumny, ale z Niemkiem stało się cóś nadzwyczajnego.

Nie płakał, nie lamentował, rąk nie załamywał, ale tylko nikogo do zmarłej dopuścić nie chciał. Na piecu siedząc, zasłaniał ją sobą i gdy tylko ktokolwiek zbliżał się, zaczynał robić łokciami, grozić pięściami i wydawać z gardła chrapliwe. ostre krzyki. Oczy przytem, w których żadna łza nie postała, iskrzyły się mu i zataczały po białkach, jak u oszalałego.

Nikt przedtem nie przypuszczał, aby mogło w nim być tyle złości. Wyglądał tak, jakoby gotów był wszystkich zbliżających się pogryść i pozabijać. Więc dali mu pokój ludzie i usunęli się, ciekawi, co dalej będzie. Lecz nie stało się dalej nic osobliwego; to tylko, że Niemko sam, własnemi rękoma, babkę do podróży wiekuistej ubrał.

Wiedział dobrze, gdzie i jakie były wszystkie jej szmaty, więc biegał po nie do skrzynki, jak wiewiórka, zeskakując z pieca i znowu na niego wskakując. Włosy jej czesał i w malutką koskę splatał; kraciastym kilimkiem jak powijakiem ją owinął, głowę owiązał żółtą chustką, na sztywne stopy trzewiki wciągnął; poczem, ciężar nieduży na ręce wziąwszy, z pieca go zniósł i na lawie położył.

Przytem wszystkiem oczy miał wciąż suche, błyszczące, a zwykła kupka zmarszczek stała mu na czole nad złotemi brwiami, nieruchomo. 1 na nikogo zupełnie nie patrzał, tylko, gdy ktokolwiek zbliżyć się próbował, łokciami poruszać zaczynał, chrapliwie krzyczał i oczy rozżarzały się mu jak płonące węgle.

Ludzie też, wziąwszy ze dworu rozporządzenia co do pogrzebu i po wszystko co było potrzebne rozesławszy, a widząc, że nic do robienia i nikogo do pocieszania tu nie było, poszli każdy do swojej roboty. Izba została pustą i zapanowała w niej cisza: tylko przez pootwierane okna wlatywały szczebioty wróble, pianie kogucie i oddalone turkoty wozów. Niemko siedział, plecami obrócony do okien, i zieloną gałęzią lipy w jedną stronę i w drugą szeroko w powietrzu kołysał. Odpędzane muchy brzęczącą, chmurą unosiły się mu nad głową, a po twarzy ciekły mu jedna za drugą łzy obfite.

Prawic rytmicznie poruszała się w powietrzu zielona gałąź nad małym kraciastym trupkiem; prawie rytmicznie też ciężkie łzy, staczające się z policzków, padały na szare płótno koszuli. Muchy brzęczały i koguty za oknami piały jeden po drugim przeciągle.

W niewiele dni potem Niemko począł znowu chodzić na łąkę, ciągnącą się od dworu aż prawie po kraniec lasu, lecz nie czynił tego z rana, ani w południe, tylko wieczorom późnym, gdy wszystkie roboty swoje pokończył, a kolej nocnego stróżowania nie na niego przypadała.

W głębokiej ciszy gwiaździstego wieczora, kiedy zrzadka tylko w krzakach na łące rosnących odzywało się ćwierkniecie świerszcza, lub senne zatrzepolanie ptasich skrzydeł, widać było cień człowieka powoli posuwający się pod lasem i zanurzający się w zmrok olsz i dębów, wśród których niewyraźnie w nocy majaczyły linie wyższych i niższych krzyży. Pomiędzy drzewami i krzyżami ziemia zbałwanioną tam była w mnóstwo malutkich pagórków, z których na jednym chłopi, drogą poblizką wozami jadący, spostrzegali czasem nieruchomo siedzący, wysoki, cienki cień. Spostrzegłszy go, żegnali się i konia przynaglali do pośpiechu tem pilniej, że z nad pagórków, nakształt jaskrawych motyli nocnych, wzlatywały czasem języczki sinego ognia, o których nikt nic na pewno powiedzieć nie mógł, oprócz tego, że były ponurą mową cmentarza, nocy tajemniczych

wnętrzności ziemi. A cień siedział dalej na małym pagórku, pod szeleszczącą zcicha olchą, ze stopami w zroszonej trawie. Głowę czasem opierał o pień olchy, przymykał powieki i drzemał.

Ale najczęściej oczy jego szeroko były otwarte na ciemność nocną i na wyrywające się z pod ziemi sine płomyki. Podleci czasem płomyk taki z nad blizkiego pagórka, chwiejąc się i migocąc, pobłąka się nieco w gęstym zmroku i nad samą głową jego gaśnie; a tu, natomiast, dwa inne wzlatują znowu i jeden za czarnym pniem. drzewa migoce, a drugi na przestrzeni wolniejszej pała sinym ogniem, wzbija się wysoko i kędyś, w gęstych konarach dębu, gaśnie, gdy u brzegów cmentarza wybłyskują i po ziemi pełzają, lub w krzakach błyskają coraz inne...

Niekiedy, w mdłym blasku tych nadpowietrznych świec nocnych, widać parę oczu ludzkich, powolnem spojrzeniem loty ich ścigającą, albo wodzącą po trawach mokrych od rosy, zbałwanionych od pagórków i jak mdłemi gwiazdami usianych baldachimami wielkich białych kwiatów. Gdy nie drzemał i nie spał, o czem w te długie godziny nocne, wśród płomyków i ziół cmentarnych, myślały i czy zresztą o czemkolwiek myślał ? Niewiadomo. Do dworu przed samym świtem powracał i, coprędzej chwyciwszy na ramiona drąg z uwiązanemi po obu końcach wiadrami, mokry od rosy nocnej, oczepiony we włosach i na siermiędze liśćmi i ziołami, błękitne światło brzasku długą i cienką pręgą przerzynając, szedł do studni po wodę.

Przyszedł jednak taki dzień, w którym olśnił go i kipiątkiem w żyły jego wpłynął blask złotego słońca.

Było to w czerwcu, nad światem panował dzień długi, pogodny, błękitny, kwiecisty.

Słońce, zniżając się ku zachodowi, zatapiało w zwierciadlanej szybie stawu pasma złotych, drgających swych włosów. Z tą szybą stawu, z rosochatemi nad nim wierzbami, z miljardem kwiatów rozsianych wszędzie i drugim miljardem dźwięków owadzich, ptasich, zwierzęcych, krajobraz stał pod błękitną kopułą nieba świetny, lśniący, wrzał jeszcze życiem dziennem i już zapadał w marzenie wieczorne. Na tle zaś krajobrazu kolorowo i wypukłe odrzynała się postać kobieca, zwolna brzegiem stawu po wodzie krocząca.

Była to duża i silna, kształtna i piękna dziewczyna wiejska, która brzegiem stawu, jakby cudem szła po błękitnej wodzie. Ale cudu nie było w tem żadnego, ponieważ u brzegu staw miał wodę płytką i tylko gdzieniegdzie znajdowały się w niej miejsca niebezpieczne. Jedną ręką przyciskając do piersi zwój świeżo upranych płócien, dziewczyna trzymała w drugiej wysoką żerdź, którą gruntowała przed sobą wodę, szukając zapewne miejsca, na którem mogłaby jak najlepiej ukończyć robotę piania. A tymczasem wyglądała jak królowa wód. Wysoka, silna, prosta, oczy miała z topazów, a usta z koralu żerdź jej pobłyskiwała u szczytu złotą iskrą. Wśród kolorowych paciorków, które opływały piersi, błyszczały srebrne krzyżyki i medaliki.

Jaskrawa i połyskująca szła w łagodnych światłach nadchodzącego wieczora i nogami, do kolan tylko okrytemi czerwoną spódnicą, a jakby z pozłacanego bronzu wytoczonemi, roztrącała błękit wód w tysiąc srebrnych fontan. Nagle spojrzeniem spotkała się z czemś, co usta jej otworzyło szerokim uśmiechem. Spotkała się spojrzeniem z cienką postacią Niemka i z wlepieniem i w nią jego oczyma.

Stał u brzegu stawu, chudą szyję w kierunku jej wyciągał, a wlepione w nią oczy miały w sobie tyle zachwycenia i podziwu, takie były rozżarzone i. razem załzawione że ta najpiękniejsza w całej wsi dziewczyna aż zaśmiała się głośno.

Od śmiechu tego Niemko poruszył się i ramiona mu jak skrzydła ptasie u boków zatrzepotały. Zaśmiał się także ochrypłym, gardłowym śmiechem i tak pochylił się naprzód, jakby chciał rzucić się na wodę i czołgać się po niej ku jej stopom. A ona zbliżała się wciąż z podniesioną twarzą, z oczyma błyszczącemi jak ciemne topazy, ukazując perłowe zęby w koralach warg uśmiechnionych. W tem zniknęła.

Jak widmo, czy sen, w jednem mgnieniu oka zniknęła i tylko w tem miejscu, gdzie wznosiły się przedtem jej wypukłe, potężne, jaskrawe kształty woda kotłowała i rozbiegała się w szerokie kręgi. Zapatrzona w oczy, które ją wielbiły, rozśmieszona nędzną postach], od której bił ku niej ten hołd namiętny, nie zgruntowała żerdzią wody i, grunt pod nosami nagli; straciwszy, opuściła się w głębinę. Lecz w temże samem prawie mgnieniu oka na brzegu rozległ się krzyk przeraźliwy i Niemko również zniknął w wodzie.

Krótką chwilę trwała walka, aż ze wzburzonych nurtów wyraźnie wychyliły się migocące w nich przedtem kształty i dwoje łudzi zziajanych, ociekających wodą, z oczyma obłąkanemi przestrachem, stanęło na gęstej murawie wybrzeża.

Pięknej dziewczynie nic złego się nie stało, skąpała się tylko i napiła trochę wody, a teraz, westchnąwszy głęboko i rękoma powiódłszy po mokrych włosach, które ciężką, bronzowa falą okryły ją do pasa, rozpaczliwym ruchem ramiona wyciągnęła nad wodą i w głos zalamentowala:

— O Jezu ! o Jezu ! Jezu !

Płachty jej świeżo uprane pływały po wodzie. Twarz z wykrzywionemi od żałości ustami ku Niemkowi obróciła.

— Pozbierajcie! Zlitujcie się, pozbierajcie ! Ciężko dysząc, ostatka sił dobywając, brnął po wodzie, miejscami płynął i zbierał, zbierane przedmioty wynosił na brzeg i u stóp jej na trawie składał. Ona pochylała się i brała na ramię podniesione z trawy płótna. Gdy ostatnie przyniósł i, wyprostowując się, podnosił ku niej twarz oblaną wyrazem bezdennej pokory, uśmiechnęła się znowu i jedną ręką mokre płótna do piersi przyciskając drugą po czole i policzkach głaskać go poczęła. Czyniąc to, nie mówiła nic, tylko uśmiechała się ciągle koralowo i perłowo, a w źrenicach jej migotała zalotna figlarność.

Wtedy z nim stało się coś nadzwyczajnego.

Chuda, blada, biedna twarz, ociekająca wodą" stanęła mu cała w płomieniach i promieniach, upadł na trawę i, objąwszy nogi jej, począł lgnąc do nich głową, piersią, ustami. Wydawał przytem krzyki, do żałośliwego skomlenia psa podobne. Czy dziewczyna zlękła się tego kalekiego głosu, albo może wstrętom przejęły ją dotknięcia czoła i ust jego, dość, żo cofnęła się i z brwią zmarszczoną, z zagniewanemi ustami odeszła.

On został chwilę na ziemi, i w przykucniętej postawie wiódł za oddalającą się spojrzeniem błędnem, żałosnem, a potem podniósł się i. dygocąc z zimna, poszedł za nią.

Ramiona przyciskał do piersi i dygocące z zimna ręce przykładał do ust zsiniałych: kupka zmarszczek stała mu nieruchomo nad blado-złotemi brwiami, z pod których oczy nie przestawały ścigać odchodzącej dziewczyny.

Tak za nią, idącą w płaszczu mokrych włosów, szedł brzegiem stawu, i tak jedno za drugiem, staw okrążywszy, szli ku wsi, niedaleko w różowym pyle szarzejącej.

Od tego wieczoru Niemko nie chodził już wcale na cmentarz, nad którym wzlatywały nocami sine płomyki.

Zaświeciło mu przed oczyma to słońce ogromne, w którego światło i gorąco motylemi rojami wlatuje wszystko, co żyje. Spojrzał w samą twarz rozkwitleniu latu. Padła na niego kropla zdroju, w którym warzą się miody ziemi. Co czuł i czy jakiekolwiek imię uczuciu swemu nadawał, czy radował się czemkolwiek, albo spodziewał się czego i czy znanem i mu były imiona radości i nadziei, niewiadomo; ale zimnej rosy cmentarnej i sinych oddechów umarłych już nie chciał. Ilekroć drzewa nie rąbał i wody nie nosił, do wsi pobliskiej szedł, tam do chaty Nastki Harbarówny cichutko się wsuwał i u jakichś drzwi, czy u jakiej ławy na ziemi przykucnąwszy, oczyma za nią, rzeźko po chacie krzątającą się, wodził, albo, gdy opuszczała chatę, o kilka kroków za nią wlókł się. Lecz cokolwiek

robiła i gdziekolwiek znajdował się z nią razem, w izbie, na obejściu, na polu, nad stawem, zawsze i wszędzie oczy jego zdawały się oczekiwać, czatować, czyhać na oddanie jej jakiejkolwiek przysługi.

Sposobności do tego zdarzały się rzadko: dziewczyna była silna, pracowita i pomocy nie wzywała nigdy, lecz on uprzedzał jej żądania, a gdy nic już lepszego uczynić nie mógł, to drogę jej niekiedy zabiegał i z pod stóp odrzucał na stronę suchą gałęź lub kamyk. A ilekroć to czynił, zawsze podnosił ku niej wzrok gorejący, albo przygasły i smutny, tak, jakby nim prosił ją o coś lub o czemś jej przypominał.

Czy ogniem i słodyczą na zawszą zapadło w niego wspomnienie przelotnej jej pieszczoty i usiłował zasłużyć na podobną znowu? czy pragnął i jak pragnął, aby raz jeszcze przybliżyła mu rękę do twarzy i pogłaskała nią jego czoło i policzki, niewiadomo: ale wkrótce wieś cala zaczęła nazywać go cieniem Nastki Harbarówny i śmiać się z niej, że zdobyła sobie takiego wielbiciela, czy konkurenta.

Było to zupełnie tak samo, jak gdyby kominiarz rozkochał się w królewnie. Ludzie drwili z obojga, a królewnie nie w smak poszło pośmiewisko ludzkie. Przedtem, pamiętając zapewne, zużycie jej, to jej kwitnące i silą wezbrane, życie, uratował, kiedy niekiedy przemówiła do niego żartobliwie lub życzliwie, podziękowała za coś przyjaznem skinieniem głowy, a raz nawet podała mu do zjedzenia misę strawy. innym razem rzuciła w niego, jak purpurową kulę. zmiętą w ręku. georginię. Wtedy wielki, zmięty kwiat, ugodziwszy go w sam środek piersi, upadł na ziemię, a on, spiesznie go podnosząc, śmiał się tak. jak przed tem nigdy się nie śmiał, z piersią drżącą od rozkoszy i oczyma pełnemi srebrnych mgieł. Kiedy więc teraz na widok jego marszczyła brwi i wzgardliwie wydymała wargi, a czasem to i wprost mówiła, żeby szedł sobie precz i dokuczać jej przestał, wszystkie ruchy i rysy jego wyrażać poczęły niezmierne zadziwienie i zlęknienie.

Za co? dlaczego? Czy podobna ? mówić zdawały się wątłe plecy jego, pokornie do ściany przyciśnięte, chuda szyja, wyciągnięta naprzód, błędne ręce, szukające dla siebie miejsca i nigdzie go znaleść nie mogące, kupka zmarszczek, poruszająca się nad blado-złotemi brwiami, która podniesione wysko dziwiły się bez granic: za co ? dlaczego ? czy podobna ? Było to przecież tak dalece podobnem, że raz zmuszony został wyjść z chaty naścinej i nigdy już do niej nie powrócić.

Pewnego dnia, gdy nad wieczór wsunął się do harbarowej izby, dużej i widnej, znalazł tam, oprócz Nastki, młodego i przystojnego parobka, który, u okna siedząc, wesoło rozmawiał z krzątającą się dokoła pieca dziewczyną. Więcej nikogo w izbie nie było; matka tylko tuż za oknem grzędę pełła i dzieci hałaśliwie bawiły się na podwórku.

Na obecność gościa Niemko żadnej uwagi nie zwrócił, chociaż Nastka, śmiejąc się i uwijając, często ku niemu błyszczącemi oczyma strzelała. Czy nie rozumiał, że gość ten był miłym dziewczynie ? Czy nie wiedział, że był to syn najbogatszego we wsi gospodarza i mógł ją sobie zabrać na zawsze ? Niewiadomo, ale zwyczajem swoim, pod ścianą stanąwszy na dziewczynę tylko patrzał i wszystkie zmiany, które w twarzy jej zachodziły, jak w wiernych echach, powtarzały się w jego rysach. Gdy śmiała się, śmiał się, gdy dziwiła się czemuś, co przystojny chłop mówił, ze zdziwieniem brwi podnosił, gdy wstydliwość, czy radość wzmagały jej rumieńce, zapalały się i gorzały mu od nich oczy.

Wtem Nastka, parę grubych polan z ziemi podjąwszy, zaczęła je do okopconego piecowiska wkładać. Wieczerzę gotować zamierzała i ogień musiała rozniecić. Młody chłop, z fantazyą na ławie rozparty ani drgnął, ale Niemko swoim zwyczajem do drzewa przyskoczył, chcąc wyręczyć dziewczynę, jak to nieraz już przedtem czynił, gdy ona tymczasem po wodę, albo i tak sobie, nic nie robiąc, na ławie siadała. Ale tym razem, w obecności miłego konkurenta, usłużność Niemka zawstydziła, czy zniecierpliwiła Nastkę.

— A idź-że sobie raz odemnie! — chmurnie brwi marszcząc, zawołała, i gdy na wykrzyk ten niezważając, z gardłowemi krzykami, usłużny, natarczywy, próbował jeszcze polana z rąk jej odbierać uderzyła go ściśniętą pięścią tak, że się aż pod ścianę potoczył. Nic osobliwego, że taka tęga, silną dziewczyna aż pod ścianę takiego mizeraka odepchnęła. Ale on nie czuł obrazy, może nawet nie wiedział, co to takiego obraza i odepchnięty wnet znowu do niej przystąpił, obie ręce pod brodą kurcząc, bardzo zmartwiony, wlepionemi w nią oczyma pytając z gwałtem i smutkiem: za co ? dlaczego ? A ją ogarnęła ostateczna już niecierpliwość i z oczyma, jak rozżarzone topazy błyszczącemi, krzyknęła:

— A czy nie pójdziesz ty choć raz ode mnie utrapieńcze! Jak przyczepił się, tak i rady już żadnej na niego nie ma! krzyczeć nie krzyczeć, bić nie bić, wszystko mu jedno, jak psu !

Taka była rozgniewana, że aż płacz drgał jej w głosie.

Wtedy parobczak, jak miody dąb wysoki, wysmukły, zgrabny, wstał z ławy i, drocząc się z dziewczyną, śmiejąc się, żartując, bez cienia gniewu, niedbale, jak źdźbło słomy z ziemi podejmując, wziął Niemka za kołnierz siermięgi, i nie patrząc nawet na niego, za próg go wypchnął.

Poczem drzwi chaty nastkowej zamknęły się ze stukiem i wybuchnęły za niemi rozmowy i śmiechy dwóch wesołych głosów. Niemko zaś, nie oglądając się i głosu z siebie nie wydając, powoli przesunął się przez wieś, przez kawałek pola, okrążył staw i, jak wkopany w ziemię słupek cienki i szary, stanął w tem jego miejscu, na którem Nastkę od utonięcia wyratował. Łzy ciekły mu po twarzy to rzadkie, to rzęsiste: ręce splecione do ust przyłożył, i, patrząc w wodę, dumał. Zmrok zapadł zupełny i wieczór stał się późnym, a on stał ciągle nad wodą i, płacząc to rzadkiem i, to rzęsistemi łzami, głęboko dumał.

O czem? Niewiadomo.

Ale do chaty nastkowej nie poszedł już ani razu. i wogóle nigdzie nie chodził, tylko, na piecu w piekarni leżąc, ciężko chorzał. Lekarza nawet dobrzy ludzie parę razy do niego przyprowadzali, ale nie pomódz nie mógł.

Ciężka choroba siedziała w nim już od dawna, lecz była łagodna, a rozsrożyła się dopiero od tej zimnej kąpieli, którą wziął przy ratowaniu Nastki od tych długich, to rzadkich, to rzęsistych łez. Jakkolwiekbądź, Niemko z piekarnianego pieca już nietylko po dawnemu jak wiewiórka nie zeskakiwał, ale nawet wcale nie złaził, kaszląc, chrapliwie oddychając, nic prawie nie jedząc i nocami nie śpiąc.

Dość ciekawą byłoby rzeczą wiedzieć, co on mógł myśleć i czuć w te niespane noce, gdy za drobnemi szybami piekarni świeciły na ciemnem niebie gwiazdy, lub gdy deszczyki letnie uderzały o nie ze słodkim, monotonnym szmerem. Czy tęsknił wówczas do starej babki, która niegdyś, na tym piecu i o tych nocnych porach, szeptała mu różne opowieści, upomnienia i modlitwy? Czy myślał o tem, że wkrótce znajdzie się tam, gdzie ona teraz była i zacznie z pod mogiłki sinym płomykiem oddychać? Czy w gorączkowych rojeniach widywał przed sobą Nastkę. w paciorkach czerwonych i błękitnych, idącą po wodzie stawu, z błyszczącą u szczytu żerdzią w ręku i czy zrozumiał, że ten silny, zgrabny, piękny parobek, który jak źdźbło słomy wyrzucił go za drzwi jej chaty, to przyszły jej mąż, który ją weźmie . sobie na całkowitą i wiekuistą własność ?

Pewna to, że, samotny zupełnie w długie szeregi godzin nocnych i dziennych, musiał coś czuć — myśleć i wspominać.

Trwało tak kilka tygodni, aż raz, niewiele przed wieczorem, do zupełnie pustej piekarni przypłynęły zdala przez otwarte okna nuty chórem śpiewanej pieśni.

Zmierzch był przepyszny; po błękitnej kopule nieba snuły się obłoki kolorowe i błyszczące, w zaróżowionem od zachodnich świateł powietrzu stało parne nieco ciepło i latały orzeźwiające

wietrzyki, szerokie rżyska za dworem leżały w złotym blasku i rumianych smugach. Drogą pomiędzy rżyskami, wśród rzędów wierzb i topoli, posuwała się ku bramie dworu duża gromada kobiet wiejskich i na tle drzew zielonych, pałając od czerwieni i szafiru strojów, pobłysk ująć w rękach lub na ramionach stalą sierpów, śpiewała:

— Plon niesiemy, plon!

Były to dożynki.

Na spotkanie jaskrawego i śpiewającego chóru, który nadchodził, dziedziniec dworski wrzał ruchem i gwarem. Były i tu, dokoła stołów białemi płótnami okrytych i sutem jadłem zastawionych, stroje od tamtych różne, lecz barw i połysków pełne, głosy rozmawiające i śmiejące się, krzątanina, bieganie od ganku ku stołom, po drogach od żółtego żwiru złotych, po trawie, dokoła kwiatów. Uciecha tu dążyła z pola, uciecha wychodziła na jej spotkanie z domu; górą szły s kominów dymy rumiane i złote: w dole stubarwne astry łanami kwitły i potokami lały się wonie lewkonjowe.

Nakoniec, jaskrawa i śpiewająca gromada w bramę dworu weszła i rozpoczęła tryumfalny, powolny pochód przez kolorowy, słoneczny, rozradowany i rozwoniony dziedziniec.

— Plon niesiemy, plon!

Na przedzie, wyosobniona z tłumu, sama jedna, szła zwyciężczyni żniw tegorocznych, Nastka Harbarówna. Nietylko najpiękniejsza, ale też najpracowitsza, była ze wszystkich dziewcząt swojej wioski; taką to już bogatą rosę darów posypało na nią niebo. Spódnicę miała w kolorowe kraty, na kształtnej piersi podwójną ilość paciorków i medalików, a nad czołem, pomimo letnich znojów białem i od radości promiennem, ogromny, strzępiasty wieniec z kłosów, przetykanych gronami jarzębin i kalin. Pod wieńcem tym oczy jej gorzały jak rozpłomienione topazy i policzki rumieniły się jak stulistne róże. Tak w tryumfie swym szła przed gromadą, koralowe usta otwierając w śpiewie, wysoka, silna, płodami pola ukoronowana, jak wieszczka pól, lub jak wcielenie żyznego lata.

Jednocześnie z wejściem żniwiarek na dziedziniec, od tej jego strony, w której znajdowała się oficyna z piekarnią, iść poczęła po trawie postać wysoka i niezmiernie wątła, cała naprzód podana, w długiej siermiędze, z głową okryta, blado-złotemi włosy.

Był to Niemko.

Usłyszał na piecu zbliżającą się pieśń żniwiarek, wiedział, że to pieśń dożynkowa i może domyślił się, że Nastka przodownicą jest w tym roku, tak samo jak była już w zeszłym. Czy raz jeszcze zapragnął ujrzeć dziewczynę? Niewiadomo: dość, że szedł, ale nie trzymał się już tak sztywno, jakby żerdź w nim tkwiła, przeciwnie, pochylał się naprzód, całym sobą kłonił się ku ziemi, a na twarzy wychudłej, miał wyraz niewymownego cierpienia. Szedł jednak i nawet, kroku przyśpieszał, chcąc snać w oddaleniu zrównać się z przodownicą i na nią spojrzeć.

Jakoż, choć nogi splątały się mu kilka razy tak że o płot oprzeć się musiał, dosięgnął celu swego, znalazł się z przodownicą na jednej linii i począł iść zwolna z twarzą ku niej obróconą,. Patrzał na nią z daleka, ale ciągle, a że przeżuto nie widział tego, co pod nogami było, więc wstąpił w klomb wysokich aster i łewkonji, które go aż do pasa oblały powodzią różnobarwnych kwiatów.

Ale on kwiatów nie spostrzegał, wychylał z prześwieżej ich toni twarz oblaną rumieńcem gorączki. z kroplami potu na zmarszczonem czole, i z nad kwiecistej gęstwiny patrzał na nią, gdy jak obraz bujnego lata przed gankiem stanęła i gdy, pochylając się w głębokim ukłonie, pełnym siły i gracyi ruchem zdejmowała z głowy swój kłosisty, ogromny wieniec i gdy, do kogoś stojącego na ganku mówiąc. poruszała koralowemi wargami, a oczyma, jak roziskrzonemi topazami świeciła. Aż przysłaniać ją zaczęła gromada cisnących się ku gankowi, rozgadanych i roześmianych kobiet, a jednocześnie, u stołów, białem płótnem okrytych i jadłem zastawionych, ozwały się pierwsze pociągnięcia smyczków po strunach, pierwsze pohukiwania basetli i dudnienia bębna. Już wkrótce,

po zakosztowaniu biesiady, tańce dokoła stołów biesiadnych rozpocząć się miały.

Wtedy Niemko z trudem ogromnym wydobył się z klombu pełnego wysokich kwiatów i bardzo powoli, pod samemi sztachetami idąc i o sztachety wspierając się, wszedł do ogrodu.

Wielka lipowa aleja była pusta: cały ogród był pusty; wszystko, co w tym dworze żyło, znajdowało się na dziedzińcu. Tą aleją, którą tyle razy przebywał w zimowe noce, Niemko i teraz szedł, ale gwizdawki do ust, jak wówczas bywało, nie przykładał.

Szedł bardzo cicho i bardzo powoli, pod zwieszającemi się nizko, ciężkiemi od liścia gałęźmi lip, a za nim biegły od dziedzińca nuty skrzypiec i pohukiwania basetli i bębna. Za lipami zielonym szlakiem trawa rosła, a za trawą i sztachetami, leżało w cichej pogodzie, złote, milczące rżysko.

U końca alei kaplica stała milcząca także, z rubinami wysoko pałającemi w szybach okien. Niemko chciał u drzwi jej przyklęknąć, ale nie zdołał. Zachwiał się, obie ręce oparł o ścianę i chwilę odpoczywał z głową zwieszoną, ciężko dysząc. Potem drżącą ręką popróbował klamki, z trudem otworzył drzwi i do mrocznego wnętrza wszedłszy, cicho je za sobą zamknął.

Czy po umierającej głowie kręciło mu się upomnienie starej babki: Jdź do Ojca"?

Nazajutrz zrana służba, przychodząca uprzątać kaplicę, spostrzegła w najciemniejszym jej kącie jakiś szary, skurczony cień.

Był to Niemko, od kilku godzin już nieżywy.

W najciemniejszym kącie kaplicy siedział skurczony, do ściany przyciśnięty, z brodą opartą na splecionych rękach i kupą zmarszczek nad wysoko podniesionemi brwiami. Tak zastygł.

Czy brwi podniosły mu się wysoko od grozy, od bolu, od jakiegoś ostatniego, zadziwionego pytania? Czy, gdy żył jeszcze i tak w kącie siedział, złote gwiazdy przez okna kaplicy patrzały na niego i czy on na nie patrzał? Czy dochodziły tu z dziedzińca dźwięki skocznej muzyki i czy on je słyszał? Czy lipy za oknami szeptały mu długie, wieczne dobranoc ?

Niewiadomo.

* * *

MIŁOŚĆ BABUNI.

Mąż mój nieboszczyk był straszny raptus pasyonat, gwałtownik. Ze słowami się nie rachował, z kijem mniej jeszcze. Bóg jeden wie, ilu ten człowiek w życiu swem ubił; a ilu chciał ubić, to i sam Pan Bóg nie przeliczy. Od gwałtownego słowa nie wstrzymałaby go kara śmierci — taką miał dziwną naturę, z ognia i prochu złożoną. Drżałam dawniej na sam dźwięk jego głosu, modliłam się do wszelkich świętych o spokój i opamiętanie, chociaż wiedziałam, że ze złą kobietą dyabeł poradzi, ze złym mężem ani piekło, ani niebo rady nią da. Zresztą złym nie był, sprzeciwiania się tylko, hardości znieść nie mógł, na punkcie wielkości rodu swego był pomieszany, a w sąsiedztwie miał siebie za najważniejszą figurę. Wprawdzie na dziesięć mil dokoła żadnego dworu nie było: błota, jeziora, lasy, wiadomo, jak w Pińszczyźnie za dawnych czasów, ptactwa, zwierząt różnych podostakiem, reszta właśni chłopi; panował wśród tego otoczenia niby król jaki. Kiedy krzyknął: na ganku, ryby w jeziorach truchlały ptaki przestawały śpiewać, kto wie, może niedźwiedź drżał w swoim barłogu. Tak mi się przynajmniej zdawało, w pierwszych latach szczególnie; później oswoiłam się, jakbym się oswoiła z piorunami, gdyby mi po kilka codziennie koło uszu trzaskało. W pierwszych latach jednak byłam prawdziwem trusiątkiem. Wobec służby, rezydentek i rezydentów głowę nosiłam wysoko, wobec męża nawet nie spuszczałam z tonu: miał też dla mnie estymę należną; ożenił się z prawdziwego afektu, więc i życia zatruwać nie chciał; w złości hamował się czasami, sapał tylko i mruczał, niby zwierz w klatce, z ukosa na mnie zerkając. A gdy go złość strasznie już za gardło ścisnęła, wybiegał na ganek, na dwór, pod stajnie, i tani już chwalił Boga po swojemu. To też strwożyłam się strasznie, prawie zdrętwiałam w ów dzień pamiętny, kiedy siedząc za krosienkami w swojej sypialni, usłyszałam, jak biegł przez cały szereg pokojów, drzwiami za sobą trzaskając, stukał buciskami i klął kogoś od stu par dyabłów, tysiącami batogów szalował. — No, koniec świata, albo może białonóżka zdechła! — pomyślałam wystraszona; igła wypadła mi z ręki.

Chociaż serce trzepotało się w piersiach, a nogi drżały, wstałam z krzesła wyprostowana, niby spokojna, brwi nawet ściągnęłam gniewnie, widząc, jak szarpnął za klamkę i drzwi z trzaskiem otworzył, niby w stajni. Język mi skołowaciał, ale dumą rodowa zaczęła chodzić po kościach: cło żadnej Kandybianki nikt jeszcze z takim hałasem nie wpadał! On tez, spostrzegłszy się, ochłonął nieco, przy drzwiach stanął, czerwony, sapiący, drżał i oczami krwią zabiegłemi mierzył mię od stóp do głowy. Nigdy pięknym nie był, w tej chwili jednak, Boże odpuść, wyglądał jak potępieniec! Kosmyki włosów sterczały na skroniach, z łysmy pot spływał na nos, na policzki, z pod rozpiętej koszuli widniała czerwoną szyja i nagie, gwałtownie falujące piersi; z wielkiego gniewu do. słowa przyjść nie mógł, połykał ślinę i zaciskał potężne pięści.

Jegomość — szepnęłam niby z delikatności, w istocie zaś głosu mi brakło, - jegomość strasznie wzburzony!

— Panie mój! — ryknął, tłumiąc gniew - tu pies wściekły oszalałby z gniewu, cóż dopiero zwykły człowiek! Słuchaj jejmość!

Przysiadł na krzesełku u drzwi i znowu powstał.

— Słuchaj jejmość, dziś wyjeżdżam, wrócę jutro wieczorem, rozumiesz?.. Żeby mi do tego czasu malarza w domu nie było! Zabije go, zmiażdżę, na kawałki posiekam i srokom oddam, jeśli ten psubrat jeszcze mi w drogę wlezie choć na minutę! Włóczęga, Barabasz, hajdamaka jakiś! lu... dzi... mnie... buntuje!... Czart go strzegł... byłbym go w tej chwili do piekła odprawił, żebym przy robocie znalazł! Nauczyłbym kanalię! Jejmość sama się z nim rozmów; kaplicy nie skończył, ale dyabeł go bierz, sprowadzę innego! dziś jeszcze każ go psami wyszczuć. Urwisz! Słyszane rzeczy! Onegdaj Jaśko stajenny powiada do ekonoma, że jest taki dobry jak i każdy inny we dworze, bo malarz mówił,

że tu wszyscy biedni i ciemni! Dziś w smolarni robotnicy podobne banialuki gadają, chleba krzyczą, kartofli, o głodzie pracować nie chcą, leżą w lesie jak barany, żaden do roboty iść nie chce. dopóki ciepłej strawy nie dostaną! A wszystkiego ten Barabasz narobił: snuje się między nimi o świcie, o zmroku, w każdej porze, przemawia, zapytuje, kiwa głową jak nad umarłymi! Sam widziałem! Ha! że ja go żywcem wypuścić muszę!

Mówił coś jeszcze o chłopach, o porządku, krzyczał, harmiderował wypluwając co chwila imię malarza z największą nienawiścią. Rzucał się przytem po pokoju jak postrzelony niedźwiedź. Dopiero gdy wybiegł, ocknęłam się ze zdziwienia,. żal i strach mię ogarnął. Wyprawię go jakkolwiek, powiem całą prawdę... Pójdzie w świat, zkąd przyszedł... W romanse nie wierzyłam, wiary małżeńskiej dochowywałam święcie, a jednak jakieś głupie łzy stanęły mi w oczach, gdy o całej tej sprawie rozmyślałam w cichości. Pracował u nas od trzech miesięcy, oswoił się już trochę, utył i poweselał: myślałam, że do jesieni odkarmię go jeszcze lepiej, że wyjeżdżając, zabierze zapas zdrowia sił i trochę nowej bielizny, którą przygotowywać zaczęłam.

Ładny to był chłopak, ale nie o tem chciałam mówie; wielu ładniejszych widziałam żywych i na obrazach, a żaden tak. bardzo w oko mi nie wpadł, chociaż w pierwszej chwili pewną byłam, że jest waryatem! Pamiętam, tego dnia, kiedy przyjechał, stałam na ganku, na tym samym ganku, prawie na tem samem miejscu, gdzie dziś siedzę; wówczas wyglądałam trochę lepiej: mówią, że za młodu nawet dyabeł jest ładny, cóż dopiero dyablice raczej kobiety, — prawie wszystkie bywają nieszpetne. Było to na początku wiosny; śnieg spłynął już zupełnie, za stodołą, za stajniami i oborą widniało czarne polo, gdzieniegdzie tylko między zagonami szarzały pasy brudnego lodu. Na dziedzińcu zieleniała trawa wokoło klombu i przy budynkach pomimo to wiosną nie pachniało. Ranek był mglisty, szary: na całym świecie ranki takie bywają tylko w późnej jesieni, na pińskich błotach zdarzają się w każdej porze roku. Dziś jest trochę inaczej — błota osuszono, ludziska w braku czegoś lepszego chociaż słońce oglądać mogą.

Dawniej mgła biaława wisiała w powietrzu od świtu do nocy, a gdy słonko przekradło się przypadkiem, albo wiatr ciepły rozwiał mglisto chmury, wówczas, jak okiem zajrzeć, widniała woda, poprzerywana tatarakiem, rąbkami czarnej ziemi, albo łąką kępiastą, porosłą olszniakiem; zieloność przytem martwa, żółtawa, kawałka porządnej trawy nie widać. Słowem, smutno patrzeć. Kiedym tu przyjechała z mężem po ślubie, myślałam, że zamrę z tęsknoty. Z ganku, z okien widać tylko błotnistą równinę: za dworem -- kempy, porosłe ostrą trawą, las gęsty nieprzebyty, w którym też wśród spróchniałych dębów, powywracanych brzóz i olsz drzemały błotniste jeziorka. O mało nie wyłam z żalu i tęsknoty. Wkrótce przywykłam: mgła, wilgoć, pochmurno niebo i ten spokój, przerywany krzykiem czajki, albo słabym, ginącym w przestrzeni głosem ludzkim, tworzyły razem dziwnie harmonijne otoczenie, w którem, jeśli się człek nic powiesi odrazu, żyje potem, drętwiejąc z dnia na dzień.

Nieraz tylko dziwiłam się w duchu, jakim cudom na tych trzęsawiskach stoi nasz dom murowany z facyatą od frontu, murowane budynki, olbrzymi lamus z cegły i kamieni ? Przychodziło mi na myśl, że z czasem to wszystko się. usunie i zniknie pod wodą, jak owo domy i kościoły w bajkach! a że zwykle na takich tajemniczych jeziorach pływa jakiś przedmiot po dawnych mieszkańcach, pewną byłam, że będzie nim peruka mego rnęża, którą nosił w. wielkie uroczystości. Otóż w ów ranek pamiętny, szary, mglisty i chłodny, ze dwustu chłopów stało przed gankiem, oczekując na mego męża, który miał tego ranka wrócić z miasteczka. Wszyscy prawie bosi, niektórzy tylko w łapciach dziurawych, od których sznury okręcały nogi do kolan, w koszulach rozpiętych na piersiach, kożuchy obrócono- sierścią na wierzch zarzucili na ramiona, wszyscy bez czapek: kołtunowate włosy zwieszały się na czole, spadały nad uszami, nadając głowie formę kudłatej czapki. Głowy pochylone,

ręce obwisłe, stali tak już od godziny jeden koło drugiego, ściśnięci w półkole, nieruchomi, milczący, akurat jak te krzaki olszyny wyrosłe na błotach. W lasach urządzano smolarnię, zwołano ich tedy całą gromadę, żeby wybrać młodszych i silniejszych. Nigdy jeszcze nie widziałam ich. tak dużo naraz: przyglądałam się przez okno i żal mi się zrobiło nóg bosych, krzepnących w błocie. Mąż może wcale nie wróci, a w jego nieobecności ja jedna miałam prawo zmienić wydany rozkaz; wyszłam tedy na ganek. Zdaleka już zasłyszałam pluskanie na błotnistej grobli, rżenie koni i turkot kół, ciągnących się zwolna; wkrótce w bramie ukazały się łby końskie, furman i dwie pańskie figury; wracał tedy z gościem. W Jak straszną bezdroż chyba tylko urzędnik w interesie przyjechać może. Pomimo ciekawością w mgnieniu oka przebiegłam myślą zadysponowany obiad. Wszystko w porządku; w razie potrzeby każę zabić indyka. Zaledwo jednak bryczka stanęła przed gankiem, zmiarkowałam, że gość nie był z tego rodzaju, dla których się ptactwo zabija: miał na sobie wyszarzały kubraczek, obszyty popielatym barankiem, takąż czapczynę, ręce wsunął w rękawy, żeby nie zziębły; gdy wyskoczył z bryczki, spostrzegłam, że był wysoki, zgrabny a pomimo bladej, zmizerowanej twarzy, mógłby się nazwać pięknym chłopakiem, gdyby nie oczy, waryackie jakieś, wystraszone jak u zadławionego: wpatrzył się w chłopców zdumiony, jakby pierwszy raz w życiu naród boży widział. Podczas gdy mąż mój, suwając nogami, poszedł w głąb sieni, ja obrzuciłam raz jeszcze wzrokiem malarza; właśnie odwrócił głowę od chłopów, spojrzeliśmy na siebie. Straszne miał oczy — dzikie, przerażone, jakby w tej chwili smierć własną spostrzegł.

Przelękniona, cofnęłam się do sieni, jakieś grobowe "oh!" doleciało mi do uszu, nie był to jednak wykrzyknik zmęczonego podróżnego, który prostuj u nogi i krzyże po długiej, męczącej podróży było to raczej głuche westchnienie stu przyduszonych piersi. Pierwsze wrażenie niezbyt miłe; prawie pewną byłam, że na dopełnienie mego domowego spokoju przybył mi jeszcze waryat na kilka miesięcy. Kazałam go pomieścić w pokoju na facyatce i tam mu obiad podać, pod pozorem, że może zechce wypocząć po drodze. Siedząc w jadalni słyszałam, jak chodził szybko w swoim pokoju, a chociaż zanoszono mu każdą potrawę, nie jadł zapewne, bo chodzenie nie ustawało ani na chwilę. Parę razy mimowoli spojrzałam na sufit, a jednocześnie dwie razydentki, siedzące naprzeciw mnie u stołu, szturgnęły się łokciami. Obie miały czyste kołnierzyki i skonfuudowane miny; podżyłe pannice czyhały widocznie na nową znajomość: zapewne do obiadu położyły już parę pasjansów, każda na swoją dolę, mówiąc przytem koronkę do Przemienienia n. a intencyę swego stanu.

Obie gorliwie pragnęły wyjść za mąż, a każdy nieżonaty mechanik, pisarz, dzierżawca lub rządca figurował w postaci króla karowego, kierowego, treflowego przez cały dzień na stole w panieńskim pokoju. Jeśli przypadkiem, zajrzawszy do panien znajdowałam na stole rozłożone karty z królem na środku, zgarniały je natychmiast, albo, skonfundowane, oznajmiały, że to na intencyą proboszcza kabałę kładą, czy dobrodziej prędko z choroby się podniesie i czy prędko ze mszą św. do naszej kaplicy przyjedzie. Wiedziałam, o jakiego proboszcza tu chodzi, kościołem zaś było puste staropanieńskie serce, w którem żadne bóstwo mieszkać nie chciało. Cha, cha! oj miałam ja dość kłopotu z temi rezydentkami przez całe życie. Rzadko którą za mąż wydać zdołałam; najczęściej musiałam zjadać zcukrowane konfitury, wypijać spleśniałe soki, które mi te dobrodziejki, gniewne na świat cały, psuły, smażąc niedbale W dodatku ogadywały mię, jak mogły; według nich, byłam harda, sztywna i skąpa, cały dwór w garści trzymałam i — zażywałam tabakę, chociaż ostatniej przywary nauczyłam się dopiero w podeszłym wieku, gdy mąż mój został prezesem izby kryminalnej w Mińsku.

Wszystkie te dalekie kuzynki, sieroty z porządnych rodzin, chrześniaczki, bratanki. którym dawałam schronienie i opiekę na czas jakiś, miały jakoby osładzać moją samotność, dopomagać w gospodarstwie; w istocie ja jedna o wszystkich myśleć musiałam, znosić kaprysy, fantazye i za to wszystko uchodzić za Heroda, sknerę pierwszorzędną; niektóre opowiadały, że do mleka,

wydawanego dla czeladzi, kazałam wody dolewać.

Tak to mię czerniły te ptaszynki-sierotki i kuzyneczki. O cnotę moją dbały częstokroć więcej, niż o swoją własną, a jeślibym przez płochość czy przez nierozwagę chciała wpaść np. w czyjeś ramiona, każda z nich uprzedziłaby mię chętnie, byletylko mój honor ocalić. Miały więc i dobrą stronę te moje rezydentki. To też nazajutrz, gdy przy rannej kawie mąż oznajmił, że malarz najprzód mój portret wymaluje, a potem dopiero weźmie się do obrazów w kaplicy, obie rezydentki spojrzały na siebie znacząco. W ich myślach zapewne byłam już, zgubioną - — sam na sani z malarzem codzień przez parę godzin! Żadna z nich nie wytrzymałaby tak ciężkiej próby bez pomocy bożej, chociaż obie o lat dziesięć były starsze odemnie. Zaraz zaczęły mi doradzać, jak się mam ubrać, jak uczesać, żeby i pięknie i poważnie wyglądać jak przystało na zamożną obywatelkę, mającą dwór murowany i kilkaset sztuk bydła w oborze. Miałam tedy objuczyć się wszelkiemi klejnotami, przywdziać suknię jedwabną, kwiecistą jak ornat, a figurę przykryć szalem tureckim, który na owe czasy kosztował sześćdziesiąt dukatów, akurat tyle, co dziesięć wykarmionych wieprzów, obliczając na gospodarską monetę. W bawialni miałam już kilka kobiecych portretów, udekorowanych we wszelkie rodzinne kosztowności: była to matka, babka i ciotki mego męża; wśród nich matka moja, ładna wytworna dania, w wysokiej upudrowanej fryzurze, wygorsowana należycie % perłami we włosach i różą w malutkiej rączce, wyglądała jak kwiatek egzotyczny obok bujnego warzywa w ekonomskim ogródku. Do szanownych, suto przybranych sędzin i podsędkowyeh z pińskich błot należeć nie chciałam, między mną i moją matką leżała fortuna, zrujnowana na zbytki i bale; pozostałe szczątki nie pozwoliły mi się wykierować na tak wykwintnie elegancką dam;;. Byłam sobie tem, czem byłam — jedną z pięciu córek niegdyś zamożnego domu. Mąż mój pokochał mię za to, żem wprawnie robiła pończochę; zostawszy panią licznego dworu, musiałam z obowiązku i potrzeby rozwinąć w sobie zamiłowania gospodarskie. Doglądałam tedy przędziwa w garderobie, a chociaż od brudnych kożuchów i grubych spódnic prządek było tam i brudno i cuchnąco, przesiadywałam nieraz całemi godzinami, gdyż bez dozoru połowy roboty nie zrobiłyby: gderałam też nieraz, bo za pańszczyźnianych czasów głodem tylko i rygorem stał porządek; głodu u nas nie było, ale rygor utrzymywać musiałam. W apteczce, w spiżarniach rezydentki i ochmistrzynie tylko nieład robiły, okradałyby może, gdyby nie regestra, które sama akuratnie prowadziłam. Od rana tedy do nocy byłam gospodynią i jaką jeszcze! Od sędzin jednak i podsędkowych wyróżniałam się powierzchownością, odziedziczoną po matce; każda stara myśli, że była ładną za młodu, otóż i ja tak myślę, a przynajmniej pewną byłam wtenczas, ubierając się do malowania.

Rezydentki odprawiłam wraz z bogatemi strojami: do gładko uczesanych włosów wpięłam bukiecik świeżych fijołków, takiż bukiecik przypięłam na piersiach do popielatego stanika, a przez cały czas myślałam o tem tylko, jak się wydam malarzowi: czy odrazu pozna we mnie kobietę, co wybornie urządza wędlinę i przez jeden wieczór może zrobić parę wełnianych skarpetek, czy też przyjmie mie za wielką panią, której pokojówka nakłada pończochy, a garderobiana zawiązuje spódniczki Bardzo byłam ciekawa, jakie też na nim zrobię wrażenie. Wiedziałam od męża, że chociaż wygląda nieosobliwie, jednak jest człekiem bywałym, uczył się za granicą... nie ważna tam wprawdzie nauka, gdyż poszedł po nią pieszo, z tłómoczkiem na plecach, ale zawsze bywał między ludźmi: wyprawili go ztamtąd jakoby, bo się rozpił; inni mówią, że spiskował we Włoszech przeciw cesarzowi chińskiemu! Słowem, był trochę awanturnikiem, bywalcom, młodym i jakby smutnym: wszystko to, razem wzięte, wśród pińskich błot mogło zawrócić głowę... rezydentkom: ja miałam rnęża, który mię co wieczór całował w czoło na dobranoc, a w rękę dziękując za obiad; wobec tej czułości niewdzięczną byłabym, poświęcając innemu chociaż odrobinę próżnych myśli. Jako gospodyni, musiałam jednak myśleć o gościu, a szatan obrał właśnie tę drogę, żeby trafić do mego

serca.

Malowanie miało się odbywać w narożnym pokoju o czterech oknach, najjaśniejszym z całego mieszkania. Dnia tego słońce zajrzało do wszystkich okien naraz, na dworze wietrzyk wiosenny poruszał obnażonemi gałęziami; kazałam tedy rozwiesić wszystką wędlinę dla przewietrzenia, a sama poszłam do sali, gdzie na mnie czekał już malarz. Na moje uprzejme powitanie skłonił się w milczeniu i, nie patrząc na mnie wcale, kazał usiąść na przygotowanem krześle. W tejże chwili usłyszałam cichutkie stąpanie za drzwiami, klamka poruszyła się zlekka — obie rezydentki były tedy przy dziurce od klucza, biedaczki dusiły się zapewnie, żeby nie sapnąć głośniej. A malarz, obrócony do mnie plecami, wciąż ustawiał stalugi, maczał kredkę w ustach, próbował kredkę w ustach, próbował na płótnie i znowu do ust podnosił. Zęby na moję powitanie odpowiedział" choć jednem słowem, choć wejrzeniem przynajmniej. zaraz zaczęłabym rozmowę: wobec milczenia czułam się onieśmieloną, nadrabiałam wprawdzie rezonem i wciąż głowę to w prawo, to w lewo zwracałam, w pierwszej chwili jednak nie mogłam odzyskać zwykłej swobody. Może nocleg miał zły może mu do kawy śmietanki nie dali? przemknęło po głowie, odtąd postanowiłam więcej o niego się troszczyć; blade zapadłe policzki chłopaka mogłyby wzbudzić litość nawet w starszem sercu niż moje.

Już miałam go zapytać, jak noc przepędził, kiedy urządziwszy należycie przybory, wrócił się do mnie. Odstąpił kilka kroków, brwi ściągnął i mierzył mię badawczo od stóp do głowy; wrażenia ani śladu, z taką samą miną patrzyłby zapewne na łysą głowę mego męża. Poskoczył, schwyciwszy naprzód pochylił, znowu się cofnął i patrzył: nakoniec za brodę mię ujął, obrócił głowę profilem, pod jął do góry zaglądał, z boku, wprost, mruczał cóś przytem wywijając kredką, trzymaną w ręku. Zapewne były To manewry czysto malarskie, nie podobały mi się jednak. Dla mnie nawet proboszcz w kościele zachowywał pewne względy, a kropiąc lud wodą święconą, zwykle mój świeży kapelusz omijał: ten zaś malarczyk traktował mię jak najzwyczajniejszą modelkę ! w potrzebie możeby nawet za ucho pociągnął! Pewną byłam, że dotąd malował tylko starych księży i łysych prezesów; 'nawet dziwnem mi się wydawała, jak mogłam myśleć o jakiemś wrażeniu. Widocznie był nizkiego pochodzenia, świadczyły o tem duże ręce, nogi, maniery dziwne, które ładnej kobiety od brzydkiej odróżnić nie dozwalały. Być może nawet, że się upijał; kto wie, może i teraz nawet nie był zupełnie trzeźwym? Mój mąż, wioząc tę osobliwość aż z miasta,. mógł też wybrać coś lepszego; przez cały miesiąc przesiadywać po parę godzin z bandytą, z gburem, który, chwytając za brodę, nie raczy nawet przeprosić, a te głupie rezydentki wciąż przy drzwiach stoją — w ciszy wyraźnie słyszałam ich stłumiony oddech.

Dopiero gdy mnie dostatecznie wymusztrował, raczył zwrócić uwagę na ubranie, na twarz może... złagodniał, uśmiechnął się... wyprzystojniał w jednej chwili. — nic tak nie szpeci mężczyzny, jak obojętność, z jaką na nas patrzy. Jego oczy i zęby były wcale ładne — nie mogłam dostrzedz tych wdzięków, gdy miał najeżoną minę.

— Fijołki w popielatych włosach... wybornie!

Obrzucił okiem dziedziniec, błotniste pola, widniejące przez okna, i znowu na mnie spojrzał. Teraz pewną byłam dobrego wrażenia; jakkolwiek z niskiego rodu, jako artysta musiał mieć gust i znać się na pięknie; zresztą, kto wie, może i ród nie był niski — mój mąż marszałkowicz, a ręce i nogi miał większe niż jogo.

— Bukiet w staniku można przypiąć niżej — rzekł. — zresztą wszystko dobrze... doskonale.

Patrzył na mnie coraz więcej zdziwiony.

— Niech się pani uśmiechnie, spojrzy na mnie... długo, żeby wzrok nabrał spokoju i pewności... ot tak !

Musiałam patrzeć uśmiechnięta, jak zalotnica! Żebyż przynajmniej maż mój nie wszedł na tę

chwilę!

— Z uśmiechem źle, spróbujmy powagi... zresztą trudno o piękniejszą całość; sądzę, że portret wyjdzie dobrze.

Tą dobrocią rozbroił mię ostatecznie. Teraz, zabierając się do kreślenia pierwszych szkiców, poruszał się z wdziękiem, zręcznie, swobodnie, a chociaż milczał, twarz wyrażała uprzejme ożywienie, musiał przypadkiem może obracać się w porządnem towarzystwie. Zresztą, co mi tam do jego przeszłości; teraz jest naszym gościem, winnam mu względy i uprzejmość. To też gdy posiedzenie miało się ku końcowi, przemówiłam do niego z dobrocią.

— Waćpan zapewne się nudzi sam jeden w pokoju? Wczoraj, po drodze, nie chciałam Waćpana turbować, więc teraz proszę uprzejmie w wolnych chwilach po pracy do nas zaglądać. Po obiedzie grywamy w karty, czasami moje panny śpiewają przy klawicymbale; nieosobliwa to wesołość, ale zawsze lepiej, niż w samotności siedzieć.

Czułam, że się rumienię, że słowa wychodzą nieskładnie; radabym przemówić serdeczniej i zbyt uprzejmą być nie chcę.

— Dziękuję — odrzekł, nie znam okolicy, chcę skorzystać z czasu; zapoznać się z ludom, z krajobrazem, dziękuję pani.

Akurat takim stylem zapisywałam gospodarskie rachunki.

— Chodzie teraz trudno, mamy tylko jednę drogę przez groblę; błoto straszne, konie z trudnością je przebywają.

— Jednak ludzie chodzą: wczoraj do dwustu ludzi widziałem tu przed gankiem.

— Chłopi!

— A przepraszam! Od wczoraj jestem na wsi, nic umiem jeszcze przedmiotów nazywać właściwem imieniem.

Zpochmurniałam: udałam, że nie rozumiem przymówki; widocznie żałował chłopów, nic w tem złego nie widziałam.

— Jeśli waćpan koniecznie chcesz spacerować, każ sobie osiodłać konia: pieszo mi nie chodź, dbuwia szkoda, a na zdrowie niedobrze nogi zbytecznie zamaczać. Przedewszystkiem bądź u nas jak w domu, bez ceremonii; a jeśli zatęsknisz do ludzi, przechadzki, i chłopi dokuczą, przychodź do nas, zawsze ci radzi będziemy. Kart może nie lubisz? mamy szachy, domino, do partyi zawsze się ktoś znajdzie. Nie chciałabym, żebyś się u nas znudził, n cały dzień przecież malować trudno.

Podałam mu rękę; trzymał przez chwilę, jakby nie wiedział, co z nią zrobić, w końcu podniósł zwolna do ust i pocałował; ja też pocałowałam go w czoło. Odtąd byliśmy dobrymi przyjaciółmi. Zdarzało się, że do malowania przychodził nieraz chmurny, przygnębiony, w zabłoconych butach, do roboty zabierał się zwolna i długiemi chwilami spoglądał przez okno w pole, gdzie pod lasem czerniało kilkanaście chat nizkich, niby kupki czarnoziemu. Odwróciwszy oczy od okna, spoglądał na mnie ponuro, jakby z żalem.

— Czy pani tu nie duszno? — zapytywał — dobrze, swobodnie żyjesz pani, jak ptaszę, trzepocząc się między spiżarnią, salonem i sypialnią?

— Ależ gdzie tam! do salonu nieraz przez cały tydzień nie zaglądam, do sypialni w dzień prawie nie wchodzę. Teraz, na wiosnę, roboty dużo w ogrodach, w polu; bielenie płótna i nici, z ptactwem kłopotu mam dużo.

I tak z kolei wyliczyłam mu wszystko, co się robi w tej porze w dobrze zagospodarowanym domu. Słuchał niby, to jest patrzał mi w oczy ołowianym wzrokiem.

— Bierzmy się do pracy — odpowiadał zwykle spokojnym, zupełnie innym głosem, i już do końca posiedzenia nie mówił do mnie ani słowa.

— Nudzi się! — powtarzałam zdziwiona. — Wiosna na dworze, ptaki wszystkie wróciły, co godzinę słychać nowy głos starego znajomego: rośnie wszystko, rozwija się, zielenieje; nawet bydło i owce, wracając z pola, podskakują jak opętane,. a on się nudzi!

Gdy myślałam o tem, w pamięci, w sercu, które do śmierci bywa głupie u kobiety, rodziły się dawniejsze wspomnienia; i ja nudziłam się tu kiedyś, dawniej, dopóki w głowie majaczyły panieńskie zachcianki. Wspomnienia uczyniły mnie pobłażliwszą dla malarza, spoglądałam na niego z coraz większem współczuciem. Podczas malowania w pokoju panowała cisza: muchy tylko, ogrzane słońcem, odżyły gromadnie, obsiadły okna, sufit, pełzały po podłodze: słońce ogrzewało mi zwykle plecy i szyję: rozkoszne ciepło orzeźwiało z początku, w końcu ogarniało mię dziwno lenistwo, potrzebowałam przeciągać się jak kotka, zdrzemnąć trochę. Teraz dopiero zrozumiałam, dlaczego kobiety, pieląc, albo żnąc w polu, zasypiają między zagonami jak nieżywe — to słońce tak je do snu kołysze. Ziewałam ukradkiem, ile razy malarz obrócił się do mnie plecami. Żebym mogła wówczas robić pończochę, uchroniłoby mię to od wielu pokus. Bezczynna, musiałam się przyglądać malarzowi z profilu: nos miał cienki, czoło wysokie, oczy głęboko osadzone: w oczach też najwięcej było widać znudzenia czy tęsknoty. Czasami zdawało mi się, że znałam kogoś podobnego; w myślach przeglądałam wszystkich swoich krewnych i znajomych — chwała Bogu, każdy z nich wyglądał zdrowo, rumiano; byli między nimi zatłuści i zaczerwieni — bladych i chudych ani na nasienie; widziałam go chyba we śnie, albo w głupiem panieńskiem marzeniu. W młodości marzyłam nieraz

O awanturach miłosnych, w których sama byłam bohaterką. Ileż to razy, idąc do lasu po grzyby, po jagody, pewną byłam, że spotka mię królewicz, albo pan znakomity, pokocha od razu i za żonę pojmie! Lada szelest w krzakach, wiewiórka poskoczy, zając przebiegnie: to on! — myslę strwożona, drżę zlekka jak głupia trusia, oczy mam spuszczono i czekam tylko, kiedy z za dębu usłyszę glos męzki; a dokąd śpieszysz, nadobna dziewico?" Pewną, byłam, że w te słowa powinien do mnie przemówić. Gdy szelest ucichnie, oglądani się dokoła drzewa stoją, jak stały, a tylko w pośród gęstych liści jagody kaliny śmieją się z mojej głupoty. Nie dziś, to jutro" — pocieszałam siebie, wracając markotna do domu. Czasami, dla odmiany, roiłam, że jakiś wędrowiec ubogi, ale piękny, wysmukły, długowłosy, zakocha się we mnie śmiertelnie. Nieznany, bez koligacyi, bez majątku, o rękę pretendować nie śmie więc schnie z miłości, a ja go leczę ziołami różnemi na poty i na wzmocnienie, plączemy razem nieszczęśliwi kochankowie, rozdzieleni okrutnem prawem losu.

Marząc tak, spłakałam się nieraz jak na pogrzebie: szlochałam, o mało mi serce nie pękło z żalu: uciekałam wówczas gdzieś na koniec ogrodu, a jeśli przypadkiem która z sióstr, spostrzegłszy zapuchłe oczy i nos czerwony, wypytywała troskliwie o powód smutku, kłamałam naprędce jakąś chorobę, ból żołądka najczęściej. Kładli mię do łóżka, poili ziółkami a ja, przymknąwszy oczy, marzyłam dalej, że z miłości umieram i że mój chudy długowłosy umarł dziś rano. Łkałam przytem, jakby mię naprawdę choleryczne kurcze porywały. Mąż mój niebożczyk do królewicza podobnym nie był, do romantycznego wędrowca mniej jeszcze; to też jak kamień grobowy przypieczętował wszystkie moje marzenia.

W pierwszym roku po ślubie roiłam czasami, spoglądając na olbrzymie jastrzębie, unoszące się w ciemnych chmurach: ot, głupia, myślałam ni z tego, ni z owego, że to myśli moję smutne w postaci tych czarnych ptaków uleciały gdzieś pod niebo. "Więc ani rycerz, ani wędrowiec... nikt już! — powtarzałam nieraz — chociaż ta okolica, samotna, lesista, jakby umyślnie stworzona jest dla tajemniczych wędrowców". Spluwałam na marne myśli i coraz częściej odmawiałam modlitwę do świętej Zenobii, patronki wiernych małżonek.

Z początku, przez machinalną jakąś ostrożność, otrząsałam się ze śmiesznych, dawno zapomnianych myśli, pomimo, że malarz coraz więcej przypominał mi "wędrowca"; siedząc przed

stalugami, umyślnie obliczałam, ile owiec dziś ostrzyżono, ile kurcząt wyszło, czy wystarczy mąki na chleb, zanim świeżą z młyna przywiozą. Nawet nogą stukałam niecierpliwie, ile razy wątek pożytecznych myśli zerwał się nagle. Wówczas malarz zapytywał mię, nie przestając szkicować:

— Nudzi się pani? Jeszcze dni kilka, potem sam już poradzę; zapewne w gospodarstwie robota pilna, pani żałuje czasu ?

— Maluj waćpan bez pośpiechu, mam się kim wyręczać. A nogą poruszam z przyzwyczajenia; dawniej często na kołowrotku przędłam.

Uśmiechał się.

— Nigdy jeszcze nie widziałem tak szczerej kobiety, jak pani — powiada, ani się domyślając, że w tej właśnie chwili skłamałam z pewną miną.

Kilka dni już tylko !... Wcale mnie to nie pocieszyło. Malowanie było dość zabawne, chociaż malarz milczał, a ja też niewiele gadałam. Każdego dnia czekałam, że mi coś powie niezwykłego... że przypomni się dawnej znajomości; serce drgało jak przestraszone. "Święty Boże, co się ze mną dzieje! — powtarzałam w duchu — słabość dziwna jakaś... trzeba zacząć pić krwawnik z centuryą". Pobladłam trochę. Chociaż to był fałsz wierutny: nigdy zdrowszą, szczęśliwszą me byłam. Ogród, łąki, błota nawet wyglądały jaśniej, weselej tego roku; każdego dnia raniutko, kiedy otwierałam okno, a świeże, wonne powietrze oblało mię całą, łzy miałam w oczach ze szczęścia, jakbym dopiero dziś na świat przyszła. Pięknie tu, rozkosznie, wesoło, a dawniej patrzeć nie umiałam. Wszystkie dary boże mają swą piękną stronę. A gdy wśród myśli dziękczynnych mąż mój mi się przypomniał, spluwałam niechcący, chociaż i on był darem bożym. Nie widywałam go zresztą po całych dniach; w lesie pędzono smołę, karczowano pasiekę, kilkuset ludzi pracowało od świtu do nocy; sterczał więc w tem mrowisku, często nawet, obiad zaniedbując; a gdy wracał wieczorem, gderał na mnie, że do lasu nie zajrzę, fabryką się nie cieszę, że wogóle jestem obojętną na dobro i dobytek. Malarza mi przytem za przykład stawiał:

— Obcym jest — powiada — a codzień o świcie albo o zmroku do lasu zagląda: wypytuje się, na robotę zważa. Kat go tam wie, po co nos wścibia w cudze sprawy; widocznie człek ciekawy jest, może i pilny nawet. Żebym wiedział, że me złodziej i niefolgujący, dozorcą bym go nad robotami uczynił; płacę dałbym uczciwą i ordynaryę ekonomską, a więcej by zarobił, niż na tem malowaniu ślamazarnem. Jejmość tam z nim pogadaj, ale wprzód wymacaj należycie, jakiego usposobienia, jakich myśli jest; jeśli hajdamaka jaki, to już go wolę zdaleka trzymać; cudzego człeka do chłopów dopuszczać nie warto; czart sam nieraz takiego piwa nawarzyć nie potrafi, jak włóczęga niegodny. Wybadaj go jejmość chytrze, po babsku: przy dobrej woli wy umiecie z dyabłem w zawody chodzić.

Głaskał mię przytem pod brodę ręką. cuchnącą smołą. Zamiast modlitwy, to moje umartwienie ofiarowalam świętej Zenobii. Z malarzem zaś od jutra postanowiłam zacząć dłuższą rozmowę, a że twarz miewał coraz smutniejszą, o tęsknotę go serdeczną podejrzewać zaczęłam.

— Waćpan markotnie wygląda — rzekłam raz, kiedy zmęczony położył kredkę na chwilę i zacierał ręce. Masz waćpan matkę, rodzeństwo ? Prawie cały miesiąc widuję Waćpana, a dotąd jeszcze nie wiem nic o nim. To mi się pierwszy raz przytrafiło. Zwykle człek, wchodzący do mego domu, już dla mnie obcym być przestaje; chcę go znać, nie przez ciekawość, bo chociaż kobietą jestem, wady tej nic posiadam, ale przez ludzkość; z dobrym znajomym żyć łatwiej, w strapieniu łatwiej mu do duszy serdecznem słowem trafić. Otóż i waćpan powiedz szczerze, możeś dawno wiadomości od swoich nie miał, może listów czekasz? Teraz, chociaż czas pilny, konie i ludzie w robocie, chłopaka stajennego na pocztę poszlę po wiadomość, albo z waszym listem. Powiedz, proszę, a miny takiej nie trzymaj, bo mnie często aż w sercu kole, gdy na Waćpana patrzę.

Słuchał, patrzył na mnie dobrem, łagodnem okiem; pokręcił głową zwolna.

— Nie mam rodziny - odrzekł — nikogo nawet z dalszych krewnych nie mam.

Akurat jak mój chudy, długowłosy wędrowiec. Mimowoli poprawiłam narcyz we włosach. Sierota biedny, niech mu przynajmniej świat hoży milej się wydaje.

— Więc tak sam jeden, ani żywego ducha z rodziny, krewnych? To być nie może.

— Biedak ma więcej braci, niżby sam chciał — mówił jakby do siebie; każdy nędzarz, idący przez życie o suchym chlebie, to mu brat, więcej nawet, towarzysz, współpracownik na jednem polu mozolnej pracy; każdy, co myśli, czuje i cierpi, próbuje walczyć według sił i możności, to też mu brat, towarzysz, któremu pierwej czy później rękę podać trzeba przy wspólnej robocie.

— To po chrześciańsku — rzekłam. Widocznie, miałeś waćpan pobożną matkę.

Skrzywił się ironicznie, jakby nietylko w Boga. ale i w dyabła nie wierzył. Nie zdziwiłam się wcale. Młody był; chodząc po świecie, nałapał myśli różnych, więc i o wierze swoje przekonanie. Proboszcza rzecz nawracać; ja chciałam rozweselić go trochę, pocieszyć w razie zmartwienia.

Widząc, że coraz chętniej z nim rozmawiam opowiadał o swoich przechadzkach do wioski, o chatach ciemnych i brudnych, słabych dzieciach, o chłopach wycieńczonych pracą; zapalał się przytem oburzony, jakby raptem z nieba na ziemię spadł i najzwyczajniejsze sprawy po raz pierwszy oglądał.

My, kobiety, zawsze lepiej znamy życie, niż mężczyźni, chociaż ich królewskie moście zagarnęli sobie najwyższą instancję we wszelkich sprawach, a spoglądając z góry na wszystko, widzą albo wierzchołki tylko, albo bardzo wybitne, grube rysy. Dla świętego spokoju z mężem nigdy o chłopach nie rozmawiałam, rozumiałam jednak, że nie wszystko. co jest, być powinno. Wydając z apteki lekarstwa, wiedziałam, ile ludzi marnie ginie na kołtun, żółtaczkę, na osłabienie i zbyteczną robotę przedewszystkiem; dzieci szczególnie, chude, na krzywych nogach, z dużemi brzuchami, wyglądały nędznie, jakby z połową duszy na świat przyszły. Jeśliby u nas takie cielęta rodzić się zaczęły, przez parę lat zmarniałaby cała obora. To też przy każdej gospodarskiej robocie pamiętałam o nich, i czy wieprzowinę na zimę urządzałam, czy mąkę i krupy z młyna do spichrzów przyjmowałam, zawsze część pewną" chociaż niewielką, "dla drobiazgu" odkładać zwykłam; taki już był zwyczaj u śp. babki mojej. Przed malarzem nie miałam potrzeby o tem wspominać; on zaś, widząc, że słucham w milczeniu rzeczy, które umiem na pamięć, pewno myślał, że serce mam niegodne i biedzie ludzkiej nie współczuję.

Wiedziałam teraz, zkąd przychodzi z rana spocony, w zabłoconych butach; z wieczora też, ledwo słońce zajdzie, chłopi do chat wrócą, zdaleka widzę już, jak sadzi przez płoty, przez łąkę, przeskakując z kępy na kępę, ku wiosce pod lasem, albo do drugiej za groblę. Bodajby gdzie na trzęsawisko nie natrafił, zginie marnie —. myślałam nieraz; w roku zeszłym para wołów zginęła tym sposobem. Wracał pieszo, wśród szarej nocy letniej poznawałam go z ganku po dużym słomianym kapeluszu, a gdy wchodził na dziedziniec, usuwałam się do pokoju. Nie dobrowolnie, Bóg widział, nieraz z żalem nawet, ale tak należało.

Rezydentki zdarłyby sobie języki nazajutrz, opowiadając wszystkim pod sekretem o mojej hańbie; w garderobie dziewczęta szeptałyby, wykrzywiając się złośliwie za memi plecami. W nocy na ganku chyba ze starym proboszczem można byłoby posiedzieć bezkarnie, ale któżby tam siedział z proboszczem !

Rezydentki i bez tego coraz żałośniej wspominały o markotnej twarzy malarza, domyślając się, że pewnie zakochanym być musi.

— Waćpannom zawsze kochanie w głowie. Panny po trzydziestu latach tylko swego świętego patrona kochać winny i tylko o miłości Boga rozprawiać — moralizowałam, jak należało pani domu i wiernej małżonce. — Markotny! Człek, który świętych pańskich malować zamierza, dom boży

przystraja, musi przecież poważniej wyglądać, niż lada frant, co się do dziewcząt w garderobie zaleca. Przymilać się do niego nie radzę, bo to i czas i praca stracone: mówił, że dla staropanieństwa pożałowanie i respekt ma wielki, ale nic więcej; małżonki dla siebie w innej sferze szukać zamyśla, to jest wśród młodych i ładnych.

Czy uwierzyły — nie wiem: odtąd jakoś mniej, na niego zwracały uwagi, zostawiając nam przeto więcej swobody, gdyśmy się spotkali przypadkiem w ogrodzie lub na ganku.

Portret był już prawic skończony; malarz przez cały dzień pracował w kaplicy, widywaliśmy się tedy coraz rzadziej, gdyż nawet na obiad do nas nie przychodził, spostrzegłszy, że mąż mój parę razy widoczną mu niechęć okazał. Widział go nieraz, jak w niedzielę nad jeziorem wśród gromady chłopskiej dziatwy siedział, książki im jakieś i obrazki pokazując: widział przytem, jak w lesie albo za parkanem dworskim z najemnikami rozmawiał, a ci, jak tylko spostrzegli go na drodze, kłaniali się jak dobrzy znajomi; szturgając się łokciami, szeptali o czemś między sobą. Chłopi lgnęli do niego: nawet służba dworska, dość harda zwykle ustępowała mu z drogi, witała uprzejmie. Niebożczyk, z natury podejrzliwy, przytem głuchy na jedno ucho, cichej rozmowy znieść nie mógł, w szeptach domyślał się knowań i spisków, a z samotnych spacerów malarza najgorsze wnioski robił.

— Człek nieraz, nie szukając, biedę znajdzie — pomrukiwał do mnie, niby grzmot przed burzą; -- wiozące go, sądziłem, że wiozę biedę z pokorą, tymczasem...

— Omyliłeś się jegomość tylko przez połowę.

— Żebym się nie zaangażował względem kaplicy, świętych obrazów... kto wie!

— Świętym należy dotrzymywać słowa, chociaż nie wszyscy ze szlachty pochodzą.

— Jejmości zawsze żarty się trzymają. A ja powiadam, że chłopomanów więcej jeszcze niż chłopów się lękam.

— Jegomość nikogo się nie obawia; po co czmucić ludzi zajęczym skromem. którego w jegomości ani za grosza niema?

— Masz jejmość słuszność. Czasami i kobietom zdarzy się prawdę głęboką wyrzeknąć.

— Kandybianki mają prawdę w herbie.

— A jak taki herb wygląda ?

— Ma pięć wieków i dotąd szczury go nie zjadły.

Odchodził udobruchany; lubił, gdy chwalono jego nieustraszony hazard, a ród Kandybów w mojej osobie szanował coraz więcej. Moją herbową tarczą osłaniałam trochę malarza; usiłując oddalić burzę, stawałam zwykle po stronie tego biedaka; nie chciałam, żeby go wyprawiono przed czasem. Należało go ostrzedz, żeby się mężowi nie narażał bez potrzeby, z chłopami się nie bratał, a przynajmniej, żeby to robił ostrożniej jakoś.

Hardy jest, więc z uwagami trzeba przystępować ostrożnie; delikatnie i misternie zarazem miałam przemówić do niego; zawczasu układając przemowę, stawałam na ganku o zachodzie słońca, kiedy zwykł przez dziedziniec na spacer wychodzić. Rezydentki podlewały w tej porze kwiatki na klombach, dziewczęta przynosiły im wodę cebrami, ruch koło domu rozmowie naszej odejmował wszelką tajemniczość. Chcąc wykazać, że wcale nie czekam na malarza, odwracałam się plecami do bramy, a tak manewrowałam, żeby fałdy białego szlafroczka bylo widać zdaleka. Słuch miałam doskonały — nieraz przez dwa pokoje słyszałam, jak szczury biegały w spiżami — otóż i kroki malarza rozróżniałam wybornie; nie patrząc, wiedziałam, czy idzie pod stajnię, za bramę, albo ku gankowi — biały szlafroczek prawie zawsze był magnetycznym sztandarem. Przychodził zmęczony, siadał na stopniach ganku, o parę kroków od moich nóg; zdjąwszy kapelusz, odgarniał ręką włosy z czoła. Wówczas to chciałam mu szepnąć:

— Waćpan biedy sobie napytasz; jeśli gwałtem wałęsać się chcesz, ruszaj z fuzyą na polowanie

niby. Chłop, jak grzyb, wszędzie go spotkasz, po co do fabryki albo po chatach łazić. Z mężem moim żartów nie ma; on w kij swój więcej wierzy, niż we wszelkie prawo boskie i ludzkie.

Mądre to były słowa, serdeczne, należało je wymówić w porę; nie miałam odwagi. W łagodnej napozór twarzy malarza było tyle hajdamackiej dumy, że po wysłuchaniu najpewniej wziąłby kij, tłómok i za godzinę byłby już może na granicy naszych posiadłości. A kaplica? a święte obrazy? a... ja?

Bóg łaskaw wybaczy jeśli wówczas myślałam więcej o sobie, niż o jego chwale. Milczeliśmy wtedy oboje, spoglądając na uwijające się wokoło klombów kobiety. Dopiero gdy zciemniało, ruch ustał, a dokoła rozpoczynała się gwarna cisza wieczorna, pytałam od niechcenia:

— Słyszysz waćpan, jak bąk krzyczy? — szeptałam, niby lękając się spłoszyć ptaka, który gdzieś tam o pół wiorsty dokazywał po swojemu.

Wsłuchiwaliśmy się przez chwilę w koncert żab, błotnych ptaków, którym wtórowała wilga w lesie i puszczyk w starych lipach w ogrodzie. Malarz odurzony mrużył oczy.

— To życie! — szeptał — wspaniałe, swobodne życie natury!

I znowu milczał: widocznie żaby i ptaki mówiły mu o czemś, czego ja zrozumieć nie mogłam. Ziół tylko i obyczajów ptaków nie znał; czytał o tem, ale z książek nikt jeszcze natury nie zrozumiał; to też mu wiele ciekawych rzeczy naopowiadałam.

Dziewczęciem będąc młodem, co ranka niemal, z siostrami, ze sługą do lasu po grzyby, po jagody biegałam — było więc dość czasu podpatrzeć każdego ptaka w gęstych liściach. Znałam cały ten świat od sikory do jastrzębia. Głosy ich odróżniałam stokroć lepiej, niż nuty na klawicymbale, a nieraz sama, przyczaiwszy się w krzaku leszczyny, nawoływałam sójki, makolągwy, pliszki, wilgi tak doskonale, że głupie leciały na mój głos gromadnie; usiadłszy na gałązce przy mojej głowie, kręciły się szczebiocąc, oglądając się na wszystkie strony. Ja spoglądałam na nie z pośród liści, a napatrzywszy się dowoli, wyskakiwałam z ukrycia, śmiejąc się jak opętana. Były to jedyne istoty, które zwodziłam za młodu; w naszej okolicy kawalerów brakowało, to też mając łat osiemnaście; wyszłam za czterdziestoletniego dziada!

Zioła wszelkie znałam lepiej, niż aptekarz: wśród trawników, na łące, w ogrodzie uczyłam się chodzić, a jeśli nos miałam zgrabny przez całe. życie, zawdzięczam temu, że zawsze na miękką trawę padałam; wówczas to już zaczynałam odróżniać praktycznie smak, zapach i kształt przeróżnych roślin, a nazwy tak mi jakoś do mózgu przyrosły, jakbym je znała przed urodzeniem.

Opowiadałam więc malarzowi o zaczarowanem państwie naszych lasów, które znałam jak własny kwiatowy ogródek. Słuchał; nie spostrzegłam nawet, kiedy stanął obok mnie przy słupie, ramieniem prawie mego ramienia dotykając. Przed oczami miałam dwie sosny z jednego pnia wyrosłe, orliki, macierzankę, cząbry i ślazy przeróżne — cały świat roślin, tulących się ku sobie, i może dzięki temu to ramię obok ramienia przypominało mi tylko niezłomne prawo natury... wraz z również niezłomną siłą zniszczenia... w osobie mego rnęża, który punkt o dziewiątej siedział w jadalni przy stole, plecami odwrócony do drzwi otwartych na ganek i zajadał zsiadłe mleko, soląc każdą łyżkę zosobna. Było to hasło do odwrotu; malarz zbiegł ze stopni i znikł w ciemności, ja zaś... do kolacyi nie miałam apetytu a idąc spać, wypijałam filiżankę gorzkich ziółek na sen i... uspokojenie.

Przez czas swego pobytu malarz należał do osobliwości w naszym dworze. Jeśli się zdarzyli ważni goście — jak marszałek, prałat i tym podobne figury, po zwiedzeniu stajni, gdzie stały wówczas dwie Sanguszkówny, Ogniska i dwie A rąbki czystej krwi, zwiedzano cielętniki, a potem zaglądano do malarza. Przez drogę gość, zasapany już trochę, gryzł cygaro i pytał półgębkiem;

— Więc maluje ? Czy zdolny ? Młody ? Gdzie się uczył"? Kosztowny?

O nazwisko nie pytano: mąż mój zapewne sam o niem zapomniał, mnie zaś ono wcale nic było potrzebnem; przy ludziach nazywałam malarza "waćpanem, " w myślach — po imieniu. Gość, chociaż znakomity, niewiele pojmował w malarstwie, ale, stanąwszy w kaplicy przed sztalugami, uwag nie szczędził: dla jednych tło obrazu było za ciemne, święty za jasny, dla drugich na odwrót. Prałat zgorszył się czarnemi oczami Matki Boskiej, gdyż gustował w niebieskich — upodobanie to znanem było w całej okolicy.

Malarz uwag nie słuchał, podczas wizyt usuwał się na stronę i stawał zdala w otwartem oknie. Goście mierzyli go wzrokiem od stóp do głowy i widocznie niebardzo im się podobał; wracając z kaplicy, pytali:

— Zarozumialec ? Łajdemuś ? Pędziwiatr? Mój nieboŝczyk tylko ręką machnął, gryzł się w język, żeby nie wybuchnąć; wolał już mówić o ogierach i cielętach.

Kaplica tymczasem stawała się coraz piękniejszą. Dawniej była to lodownia, postawiona na wzgórzu, ocieniona dokoła staremi lipami: w końcu, gdy i tu woda na wiosnę podpływać zaczęła, zasypano piwnicę, a murowany budynek nieboŝczyk na kaplicę przerobić zamyślił. Otynkowano na nowo, zrobiono w dwóch ścianach cztery długie, wązkie okna, nad ołtarzem okienko z kolorowych szybek Przywykłam widzieć w tym budynku szereg hładyszów, ponakrywanych deseczkami, pieczenie cielęce i inne mięsiwo, ułoŝone na słomianych matach, więc jakoś od razu ani szacunku, ani poczucia świętości dla przybytku tego nabrać nie mogłam, pomimo że na świeŝo pokrytym dachu widniał już krzyŝ Ŝelazny rzeźbiony. Raz tylko, w dzień upalny w południe, wracając z folwarku do domu przez ogród, znuŝona, mimowoli prawie skierowałam się w stronę dawniejszej lodowni. Wśród zielonych gałęzi kapliczka wyglądała jak nowa, przez otwarte drzwi widniała podłoga, ułoŝona równiutko z czerwonej cegły, ściany i sufit bialutki, przez otwarte okna ze szmerem gęstych liści dolatywał zapach lip kwitnących. Malarza nie było. Wśród chłodnej, wonnej ciszy kilkanaście pszczół brzęczało pod sufitem przelatując z jednego okna na drugie. Na sztalugach, odsuniętych na środek kaplicy, stał wykończony obraz Matki Bożej — wkoło niego sześcioro dziatwy z folwarku. Chłopcy i dziewczęta boso. w grubych koszulach, rozpiętych na piersiach, obrócone do drzwi plecami, nie słyszeli gdy weszłam; z wyciągniętemi główkami ku obrazowi szeptali coś między sobą tajemniczo. Pewną byłam, że palcami świeŝych farb dotykają; już miałam spłoszyć łaskawych znawców i jak niepysznych na dwór wyprosić, gdy spostrzegłam, że ręce trzymali za plecami, a ciekawość ich i uwaga pilna wcale nie na obraz były zwrócone. Zbliŝyłam się tedy cichutko. Na sztalugach u stóp obrazu spostrzegłam długą, równą deseczkę, na niej czarną farbą namalowane dużo drukowane litery: "Matka Boża, opiekunka dzieci." Malcy pochyleni wymawiali literę za literą z cicha, zdławionym głosem, jakby się pszczół i szelestu liści lękali: stałam tak za gromadką, na jasne główki i chude rączęta spoglądając; jakieś miłe uczucie obudziło się w duszy. A kiedy po długiej chwili spostrzegłam malarza we drzwiach, ścisnęłam mu rękę serdecznie.

— Jesteś waćpan uczciwym człowiekiem — rzekłam.

Zanim się obejrzałam, dziatwy już nie było — frunęły przez okna kanalie.

Odtąd malarz poweselał jakoś; przy spotkaniu pierwszy do mnie rękę wyciągał i ściskał dłoń moją, jak dłoń dobrego przyjaciela. Rada byłam tej poufałości, całowałam go w czoło, a rezydentkom przykazałam, żeby miały pilne baczenie na jego bieliznę i skarpetki; wówczas to przyszło mi na myśl, żeby mu uszyć trochę nowej bielizny z najpiękniejszego domowego płótna. Tymczasem zaś, chcąc mu zrobić satysfakcyę, pozwoliłam wybrać ze skrzyni na strychu kilkanaście starych książek z pieśniami świętemi; resztę zamknęłam, sądząc, że się przyda może, gdy dziatwę podczas zimy każę czytać uczyć. Nie mówiłam o tem z malarzem, żeby nie sądził, że myśli jego zbytecznie do serca biorę, ale tylko do którejś rezydentki rzekłam, że na zimę staremu klucznikowi

łaskawy chleb dać trzeba będzie, gdyż głuchy jest i nogami ledwo włóczy; żeby lenistwem Boga nie obrażał, z rana będzie wydawał owies dla cieląt, w południe zaś dziatwę folwarczną trochę czytać pouczy; będą przytem pierze darły, zawsze z parę poduszek przybędzie do wiosny.

W godzinę potem malarz już wiedział o wszystkiem. Kiedy te sikory miały czas latać do niego — nie wiem, dość, że plotki wszelkie roznosiły w mgnieniu oka — taki już miały talent w językach.

Wieczorem przemówił do mnie na ganku:

— Dobry pani powzięła zamiar, trzeba było dawno to zrobić.

Zaczerwieniłam się, upokorzona pobłażliwą pochwałą. Chciałam odpowiedzieć hardo, język się splątał.

— Waćpanu tę myśl zawdzięczam — rzekłam cicho, jak na spowiedzi, a w duszy rogata duma oburzała się na tę pokorę; kraśniałam ze wstydu przed sobą.

— Rad jestem, że mój przykład podziałał na panią.

Głupi, roi mu się, że bez niego nie potrafiłabym. Podniosłam głowę hardo; usta tymczasem gadały zupełnie co innego.

— Dziatwa kiedyś za Waćpana modlić się będzie.

— Niechaj wprzód dla siebie lepszą dolę wymodli.

Odszedł i dobrze zrobił; w dłuższej gawędzie niechybnie zwyciężyłaby mię ta ślamazarna słabość, którą czułam zwykle, patrząc na ciemne kędziory i smutne oczy malarza.

A jednak, wbrew zwyczajowi, nie wyłajałam żadnej rezydentki za zrobioną plotkę; owszem, gdy przed nocą weszła do mego pokoju ta, którą posądzałam — drugą wówczas bolały zęby — podarowałam jej nowiutką szalową chusteczkę, przypominając, że dziś jakoby przypadały jej urodziny. Pannisko dnia urodzin lękało się więcej, niż grzechu; rada z chusteczki, gotowa była ją zwrócić, byle oddalić nawet przypomnienie złowrogiej chwili.

— Za miesięc żaledwie kończę lat dwadzieścia osiem — odrzekła.

Dziesięć lat już ten sam rok kończyła.

— Nic nie szkodzi, zatrzymaj waćpanna chusteczkę: za miesiąc mogę zapomnieć.

Przez cała. noc zapewne suszyła mózg, rozmyślając, za co właściwie dostała podarek. Oh, bo to były dyplomatki nielada! Najmniejsza zmiana w codziennem życiu dawała im dużo do myślenia. Nieraz przez cały tydzień sprzeczały się, dlaczego mój mąż zawiązał chustkę na szyję, gdy zwykle bez niej się obchodził. Spoglądały przytem na siebie dwuznacznie, z złośliwym uśmiechem. Chociaż tego człowieka wróg nawet o złe myśli posądzić nie mógł. Elegantem nigdy nie był, nawet za kawalerskich czasów: po ożenieniu się tak skapcaniał, że go gwałtem prawie zmuszałam do włożenia czystej koszuli raz na tydzień; na rezydentki spoglądał wówczas chyba gdy się która zakrztusiła przy obiedzie; w spokojną porę nic widział ich wcale.

Zły duch czy wprawa dopomogły rozwiązać zagadkę: odtąd kręciła się jak fryga między dworem i kaplicą, donosząc, ile razy malarz kichnął: zapewno i jemu o mnie również ciekawe wieści komunikowała. Dowiedzialam się tedy, że gwiżdże jak, "aniół" śpiewa jak "archanioł", wogóle jest zadowolony, wesoły, a chociaż do rozmowy niechętny, przyznał, że pierwszy raz w życiu czuje się tak szczerze zadowolonym ze swojego pobytu i otoczenia.

Może ta sroka paplała, byle paplać — słuchachając jednak, stłumiłam oddech, a gdy odeszła, zaśmiałam się, twarz rękami zakrywszy, jakby się tych ścian wstydząc, co moją radość widziały. Nikt we dworze nie dbał o niego, dla wszystkich był on zwykłym, trochę lepiej od innych ubranym rzemieślnikiem, dla którego jadło i płaca miały być dostatecznem wynagrodzeniem: ja jedna zrozumiałam, że dusze miał wielką, której w jednem ciele zaciasno, dzieli się wiec nią z najbiedniejszemu Że... że trochę raptus może, troche zapaleniec, ale uczciwy przytem, o sobie nie

myśli, spokój własny, dolę swoją poświęcić gotów — gołąbek len mój jedyny. A gdy rozmyślałam, stare łzy, te... panieńskie, z dawniejszych czasów, do oczu się cisnęły, tylko już nie żaden "wędrowiec", ale zupełnie inny, prawdziwy bohater w myślach stawał.

Wszystko, co niezwykłe, lgnęło mi do duszy: żebym była mężczyzną, kto wie, zostałabym może awanturnikiem. Skazana na pilnowanie domu, kluczy z rąk nie wypuszczałam, ale całej myśli w spiżarce zaniknąć nie mogłam. Rozum jego jako toż wcale piękne malowanie odrazu wzbudziły we mnie ten rodzaj szacunku, co to zmusza do bardzo uprzejmego uśmiechu i chętnej rozmowy.

Cnotliwy jest — myślałam nieraz — uszanowanie dla kobiet, zna, w rękę całuje mię spokojnie, jak ciotkę albo babunie — tak być powinno. Kobieta może widzieć w mężczyźnie tylko przyjaciela, mężczyzna w przyjaciółce nawet widzi tylko kobietę — taką już Bóg im dał naturę dziwną, Grzecznością. spokojem rozbrajał mię ostatecznie; przeciw śmielszemu spojrzeniu miałabym kodeks zwyczajów i moralności, przedewszystkiem zaś najwyższe zdziwienie, połączone z ciekawością, którą ludzie niesłusznie, dumą kobiecą przezwali: wobec skromnego, uczciwego młodziana czułam się tak bezpieczną, jak święci pańscy wśród płomieni: dziwiłam się tylko, że na nudy, na samotność tylko pomiędzy chłopami, pomiędzy ich dziatwą rozrywki szuka, zamiast w przyzwoitem kółku wesoło na rozmowie czas przepędzie.

Cieszyłam się przytem, że, uczciwą małżonką będąc, na obojętność malarza uwagi zwracać nie potrzebuję, boć wierność i cnotę w tak wielkim szacunku mam, że mie żadna pokusa z prawej drogi sprowadzić nie zdoła. Pycha straszna zaczęła napełniać mą duszę: żebym się wówczas spowiadać musiała, same cnoty, przymioty znakomite tylko wyznaćbym mogła, grzechu żadnego w całej osobie dopatrzeć nie mogłam.

Dopiero gdy te sikory jedna za drugą od malarza do mnie przybiegać zaczęły z opowieściami, bałamutnemi nad wyraz, wciąż o tem prawiąc, jak o mnie znienacka zapytuje, portret mój niby dla wykończenia wciąż przy sobie na sztalugach trzyma, każdego mego kroku jest świadomy, jakby umie wciąż w myślach i przed oczyma miał, a gdy niespodzianie głos mój posłyszy, rumieni się jak piwonia i od najpilniejszej roboty głowę odwraca, strzelając na wszystkie strony oczyma niby zwierz osaczony — dopiero wówczas pomyślałam: człowiekiem jest przecież, zatwardziałym w cnocie pozostać nie mógł. Nie wiem, czy mu Bóg przebaczy, ale ja przebaczam z całej duszy, chociażby naprawdę sentyment do mnie powziął. W suchej wierzbie albo w rezydentem zakochać się przecież nie mógł !

I coraz większą baczność zwracałam na jego kroki — bez celu, ot tak, żeby się przekonać, czy w istocie duszę ciężkim grzechom obciąża, cudzej własności pożądając. A rezydontkom raz na zawsze przykazałam, żeby mi o żadnych bredniach pisnąć nie śmiały, przyrzekając solennie za pierwsze marne słowo obiedwie wraz z kuferkami do klasztoru panien Bernardynek odesłać, ażeby tam w milczeniu i umartwieniu za grzechy swoich języków odpokutowały; zamilkły też od razu, wiedząc, że ze mną żartów niema; dopiero mogłam bez przeszkody zwracać baczność na czynności malarza, z silnem postanowieniem, że jeśli co złego zauważę, to... eh dziś już nic pamiętam, co postanowiłam !

Dostrzegłam zaraz pierwszego dnia parę niepotrzebnych manewrów: gwoździk, który z ręki upuściłam, złapał ukradkiem i cały dzień w kieszonce od kamizelki nosił: wieczorem zaś, gdy siedział na stopniach ganku przy kolumnie, o którą się oparłam, nieznacznie fałdy mego szlafroczka koło ust czy koło nosa przesuwał — w ciemności wieczornej dobrze rozejrzeć nie mogłam.

— Źle jest! — pomyślałam, nie mogąc się zdobyć ani na gniew, ani na oburzenie — czekajmy dalej !

Tymczasem w duszy mojej rodziła się dziwna skrucha, upokorzenie przed tym młodzianem, który, będąc istotnym afektem przejęty, dość mocy nad sobą ma, żeby i spokój i godność zachować, nigdy

spojrzeniem jednem nie obrazić mojej kobiecej godności, podczas gdy ja stokrotnie kusiłam go kwiatami we włosach, koronkowym kołnierzykiem, nogą nawet, tak, nogą, obutą w niebieski dymkowy bucik i ażurową pończochę: nogę tę wysuwałam zwykło z pod sukni, chociaż do malowania wcale potrzebną nie była.

Widział to zapewne, może nawet domyślał się więcej, niż było w istocie, pomimo to stał niezachwiany w cnocie, ukradkiem tylko upuszczane kwiatki zbierając. Słabą, niewiastę miał przed sobą, w której próżność i duma miejsce cnoty zajęły; rozumiał to, więc i za siebie i za nią w cnotę się, uzbroił, ten.. wagabundus, którego w pierwszej chwili do domu waryatów odprawić chciałam.

— Basta! — rzekłam. Jako ślub święty odegnał wszelkie marzenia o wędrowcach i królewiczach, tak dziś upokorzenie i skrucha niech złe myśli w dobre przemienia: fortele zalotne na bok odłożę, gawęd niepotrzebnych zaniecham.

Ażeby święte obowiązki wciąż przed oczyma mieć, tegoż dnia rozpoczęłam włóczkową czapeczkę dla męża, zamierzając skończyć ją przed sierpniom, kiedy to muchy najwięcej jego łysinę turbowały. Ale kobieta strzela, dyabeł kule nosi!

Właśnie, tak cnotliwie rozmyślając, do jadalni wchodziłam dla rozdzielenia podwieczorku, kiedy w drugich drzwiach ukazał się malarz, prosząc, żebym do kaplicy szła obraz, który wykończał, obejrzeć.

Przemawiał spokojnie, jak zwykle, bledszy trochę, więcej zmęczony, czoło ręką pocierał, spoglądał mi w oczy uważnie. Od wzroku tego krew mi uderzyła do głowy, nogi zadrżały; może umyślnie prosić przyszedł, żeby ze mną sam na sam chwilę przepędzie, schylić się razem nad malowaniem, popatrzeć, jak wesoło śmieję się i rozmawiam?

Myśl ta błysnęła mi w mózgu odrazu; pokręciłam głową na znak, że nie pójdę; stałam oparta o drzwi, bezwładna, jak ołowiana. Tylko we śnie bywa czasami tak ciężko, jeśli człek śpi nawznak, albo zbyt sutą spożyje kolacyę; a chociaż czułam, że patrzy na mnie, ani oczu, ani gilowy podnieść nie mogłam.

Odszedł w milczeniu, a gdy znikł za drzwiami. ocknęłam się niby ze snu ciężkiego.

— Masz dyable tabaki! — pomyślałam. Nigdy jeszcze tak głupio nie przedstawiłam się nikomu. Jeśli jest domyślny.. Na szczęście, mężczyźni rzadko domyślni bywają. W każdym razie dobrze, że nie poszłam.

Później nieraz wracałam myślą do tej chwili i uśmiechałam się złośliwie nad swoją ślamazarnością: wówczas jednak zdawało mi się, że Bóg mię od ciężkiej choroby zachował, że teraz, kiedy poznałam swoją słabość, roztropniejszą i ostrożniejszą będę.

Aż tu w parę dni potem musiałam go z domu wyprawić.

W pierwszej chwili po odjeździe męża siedziałam jak odurzona, potem, chociaż otrzeźwiałam, myśli zebrać nie mogłam.

— Co mu powiem ? Kiedy? natychmiast, czy jutro ?

Wykrętów, fortelów żadnych używać nie chciałam, prawdę powiedzieć należało; a jeśli przytem wymknie się słowo współczucia — wzrok, to już koniec; dotąd przecież byłam wstrzemieźliwszą od niejednej świętej.

Ochłonęłam, uspokoiłam się, a przyszedłszy do jadalni, kazałam prosić do siebie malarza. Przez okno widziałam, jak szedł spiesznie, palcami czuprynę na tył odrzucał, a drugą ręką kołnierz wkoło szyi poprawiał; gryząc usta, uśmiechał się nieznacznie. Kto wie, może i on marzył o zaczarowanej księżniczce ? Bieda, pracy, serce tkliwe potrzebowało osłody: może pierwszy raz spotkał kobietę, co go dobrem słowem za serce ujęła. Rozkochać biedaka najłatwiej, trochę serdecznego ciepła, a wnet w duszy szczęście rostki poczuwać zaczyna. Żałowałam go szczerze. Napróżno zaciskałam pięście,

chcąc całą siłę naprężyć; drżało coś w piersiach — bałam się, że pewności, spokoju w głosie mieć nie będę.

— Mąż mój na Waćpana strasznie zawzięty — — rzekłam, gdy stanął przedemną zarumieniony, z błyszczącemi oczyma.

W mgnieniu oka twarz mu zbladła, ściągnął brwi.

— Za tych chłopów, za robotników wszystko. Waćpan dobrem swem sercem wiele sobie szkody przynosisz.

Machnął ręką.

— A więc wymawia mi robotę i życzy, żebym poszedł na cztery, wiatry? Za parę dni skończę i odejdę.

— Niech to Waćpana nie obraża... każdy swego interesu pilnować musi; robotnik dotąd dobry, dokąd mu głowy nikt nie zawraca: pracuje w spokoju a jeśli niezbyt szczęśliwy, o lepszej doli przynajmniej pojęcia nie ma, krnąbrności się nie uczy.

— Pani cudze słowa powtarza — rzekł, jakby mi w duszy czytał. Pociechę tę mam, żem czasu, nie zmarnował.

— Urazy do nas nie chowaj, za wytłumaczonych miej, jeśli w czem dogodzić nie zdołaliśmy. Mąż mój raptus, ze wszech stron cenił waćpana, rad był z jogo roboty nad wyraz, a tylko uniósł się w krewkości; przebacz mu, jeśli możesz, boję się, żeby część urazy do męża na mnie nie spadła, chociaż Bóg świadkiem, że dobra wam życzę.

Milczał, ślinę połykał, parę razy poruszył ustami ale się wstrzymał.

— Więc dziś już odejść mam? — rzekł jakby nie swoim głosem.

Wolałabym wszystkie swoje kury czubato skazać na smierć męczeńską, aniżeli wygłosić termin wyjazdu. Milczałam tedy, skubiąc koronki przy rękawach; krew uderzała w skronie, dłonie pałały; przy daleko mniejszej gorączce chorym zwykle synopizma stawiać każę. Spojrzałam na delikwenta..

— Mąż mój wraca jutro wieczorem — rzekłam, nie spiesz waćpan; tymczasem wszystko do drogi przygotować każę.

Miałam silną pokusę podać mu rękę drżącą, rozpaloną, z której i bez doktora temperaturę krwi zmierzyć można było; wyratowała mię nietyle powaga kobiety, ile owe ziółka gorzkie, które pijałam codziennie bez cukru.

— Do jutra robotę skończę rzeki. Skończę, ! zaśmiał się szydersko i wybiegł.

Pewną byłam, że spłata jakąś farsę. Myśl ta jak gwóźdź utkwiła w mózgu; widząc, że od roboty nie odchodzi, chciałam zajrzeć do kaplicy zaniechałam jednak przez wzgląd na słabość niewieścią.

Nazajutrz o świcie, był już przy sztalugach i przez cały dzień nie wyjrzał na boży świat. Przyszykowalam mu wiktuałów przeróżnych sporo, od szynki, kurcząt, wódki, aż do konfitur i śliwek suszonych na rożenkach. Człek skromny parę miesięcy mógłby żyć tem, nie zaznawszy głodu. O zmierzchu znowu mię napadła trwożliwa gorączka. Bryka zaprzężona stała pod stajnią, a malarz się nie pokazywał; przypomnieć nie miałam odwagi, a mąż w każdej chwili mógł nadjechać. Chodziłam po domu jak nieprzytomna, wyglądając różnemi oknami na drogę i do ogrodu. Gdy tak strwożona przysiadłam na sofie, polecając całą sprawę w ręce boże, wbiegł malarz z kluczem w ręku.

— Skończyłem — rzekł, klucz pani wręczam — schwycił mię za rękę. — Byłem szczęśliwy — szepnął, dziękuję, wspomnij czasami o szaleńca !

Może tam mówił coś jeszcze, nie pamiętam, jak też nie pamiętam, czy mu odpowiadałam. Centurya i krwawnik zbawienne zioła, ale używałam ich od niedawna, serce zaś tkliwe miałam od urodzenia. Zapewne musiałam mu coś powiedzieć czulszego, niżby wypadało, bo gdy odszedł, na rękach — tak, zdaje mi się, że tylko na rękach — czułam ślady gorących pocałunków.

Przed gankiem rozległ się turkort — mąż przyjechał. Malarz nie chciał koni, wiktuałów, nic, pieszo wywędrować zamierzył; spotkają się może? Nie czułam ani żalu, ani trwogi, spokojna siła owładnęła umysł, ściskałam klucz w ręku, nasłuchując. Mąż chodził po sąsiednim pokoju stękający, zasapany, spytał o coś lokaja i zamilkł. Nad sufitem słyszałam, też kroki powolne, to przyśpieszone; zapewne tłómoczek układał. Śledziłam ruchy obydwóch: kiedy tamten na górze podchodził ku oknu, ten tu ku drzwiom sio zbliżał, to znów jak zmówieni oddalali się w przeciwne strony. W takt ich ruchów uderzało mi serce: chwilami zdawało się, że kroki na górze cichną, wówczas i serce bić przestawało; tłumiłam oddech - dom, świat cały znikł z przed oczów. Szmer jakiś, stuk na górze... otwierałam oczy, bojąc się odetchnąć... Ucichło nareszcie. Napróżno wytężałam słuch, wpatrzona w sufit — cisza. Sen skończony — należało wrócić do rozsądnego życia.

Nazajutrz raniutko byłam już w kaplicy. Słońce zaglądało wesoło do bialutkiej świątyni, na czysto umiecionej podłodze kilka wiązek tataraku rzucone tu i owdzie. Naprzeciw drzwi stał obraz wykończony: Chrystus, rozdzielający chleli zgłodniałej rzeszy. Spoglądałam zdumiona: chude, wynędzniałe twarze, wklęsłe piersi, sterczące ramiona — to żywcem schwycone z natury, to akuratne portrety robotników ze smołami, każda twarz znajoma, ubiór trochę inny, jeśli w ubiorze nędzarzy wielka rozmaitość być może. A Chrystus, Boże odpuść, ale z oczu smutnie łagodnych, z wyniosłego czoła, pociągłych, bladawych policzków bardzo mi malarza przypominał.

— Jeśli to podobieństwo spostrzeże mąż, — pomyślałam, jak piorunem rażona, - obraz zniszczy, gotów zburzyć całą świątynię w gniewnej przypadłości.

Nie dostrzegł jednak; kazał tylko wymyć i wykadzić pokój, w którym mieszkał "włóczęga", imienia jego nigdy nie wspomniał, a jeśli czasami zasłyszał je ze strony, mruczał gniewnie i brwi ściągał.

Natomiast chłopstwo dziwnie sio garnęło do tego obrazu. Z początku może tylko nowe malowanie ciekawość i zachwyt wzbudzało, przyglądali mu sin podczas nabożeństwa z uwaga wielką, po chłopsku, t. j. oczy i usta otwierając szeroko, i tak sobie, w nim upodobali, że wianków, kwiatów, ziół różnych znosili mnóstwo w każdą niedzielę i święto: cuda mu nawet przypisywać zaczęli, zapewne dlatego, że widząc na obrazie osób rozmaitych dużo, za świętych je mieli i w gromadną protekcyę więcej niż pojedyńczych i wierzyli.

O malarzu, gdy znikł bez wieści, też baśnie po wioskach krążyć zaczęły. Nazywano go aniołem bożym, świętym Antonim, co często w ludzkiej osobie na pociechę biednych po świecie chodzi; starzy tylko śmieli się z tych baśni, mówiąc, że był sobie pan dobry i tyle.

Dopiero gdy woda podmyła kaplicę, ściany runęły niespodzianie, niszcząc wszystko z kretesem, — o obrazie, o malarzu zapomniano powoli; teraz chyba staruszka jakaś bajkę o " łaskawym panie" opowiada czasami, jak ja wam dziś o śnie złotym mojej młodości opowiedziałam.

Przygotowano na podstawie bookini.pl